

J. R. Taylor
No 433

WIELKIE LEGENDY LUDZKOŚCI.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy Świat. 41

<http://rcin.org.pl/ifis>

BIBLIOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

WIELKIE
LEGENDY LUDZKOŚCI

22542

przez

L. Michaud d'Humiae.

przekład

CECYLI WALEWSKIEJ.



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
1904.

<http://rcin.org.pl/ifis>

22542



4-123481

Дозволено Цензурою
Варшава 14 Декабря 1903 года.

PAN 22542



12.
10.9.86
A. 472/66

<http://rcin.org.pl/ifis>

WSTĘP

czyli

Dusza ludzka w pochodzie wieków.

TREŚĆ: Rozum i wyobraźnia. — Wiedza terażniejsza i wiedza przyszłości. — Określenie Legend. — Jak powstały w wyobraźni ludów. — Legendy poetyczne. — Legendy filozoficzne i religijne. — Legendy bohaterskie.

Doniosłość tradycyi legendowych w stosunku do tradycyi historycznej. — Wspólność pochodzenia rodzaju ludzkiego, dowiedziona przez tło ogólne Legend. — Bujny rozkwit Mytów i Bajek w Indiach pierwotnych. — Blask poetyczny i duchowy charakter tych fikcyi. — Dlaczego wybraliśmy legendy o Ramie i Krysznie?

Młodość ludzkości w Grecyi. — Charakter duszy greckiej i legendy, w których znajduje ona upodobanie. — Geniusz grecki w przeciwstawieniu do geniusza hinduskiego. — Dlaczego wybraliśmy Myt o „Prometeuszu“ i Bajkę o „Psyche“?

Cywilizacja Rzymska. — Chrześcijaństwo. — Legenda o „Żydzie wiecznym tularzu“.

Wiek średni. — Ucisk religijny: strach przed Diabłem. — Legenda o „Fauście“. — Wróżki; ich pochodzenie wschodnie. —

Legenda o „Czarodzieju Merlinie“.— Jej historyczna doniosłość.—
Idealna strona Wieków średnich: rycerstwo.

Odrodzenie. — Zwrot ku starożytności. — Jakie ujście znalazły sobie nowe siły? — Legendowa postać Don Żuana odbija w sobie jaskrawą, zapalczywą, bezładną duszę epoki.

Doba współczesna.—Zanik Legend, trwanie Symbolów.

* *
*

Władze, jakie ma w sobie człowiek, zdają się określać ściśle przeznaczenie jego, polegające na powolnem dążeniu do poznania świata, w który został rzucony i do pojęcia tajemnicy, jaka go otacza.

Dwa narzędzia badań zostały mu dane w tym celu: Rozum i Wyobraźnia. Rozum sprawdza i szereguje wydarzenia, porównywa je z sobą i usiłuje wyciągnąć z nich prawa określające. Sam o własnych siłach nie byłby w stanie jednak dojść do tego: co krok zbijają go z drogi niewytłomaczone zjawiska i powikłania, których nie może przeniknąć, zostawiając olbrzymie luki w pracy spostrzegawczości. Wówczas zjawia się na pomoc wyobraźnia i, dzięki intuicji, chwyta w lot niedostrzegalne dla zmysłów stosunki zjawisk: dokąd rozum nie dotrze, tam wznosi się ona na skrzydłach płomienistych, rozświetlając mroki nocne. W blasku ich majaczy to, co niewidzialne, wielkie, jak przez mgłę postrzegane prawdy przyszłości, które należy dowieść.

W dziedzinie tradycyi można powiedzieć, iż rozum obowiązany jest postrzegać, sprawdzać, szeregować dzieła i odkrycia ludzkości, czyli tworzyć Historję, — gdy tymczasem do wyobraźni należy opracowywanie, przekazywanie i stopniowe przeobrażanie Mytów i Bajek, zgrupowanych ogólnie pod nazwą Legend.

Co w rzeczywistości oznaczają Legendy?

Śmiało można twierdzić, iż są to fikcyje, zrodzone w zbiorowej wyobraźni ludzi, które dzięki powabnej formie, bogactwu poezyi i skłonności do symbolizowania zasłużyły, by przejść w tradycyę i pozostać w niej.

Pojawienie się tych fikcyi w zaraniu myśli ludzkiej wywołały, prawdopodobnie, trzy istotne przyczyny.

Po części zrodziła je potrzeba wytłomaczenia wszechświata, jego czarów, potworności, dziwów i tajemnic. Olśniony i przerażony zjawą bytu, mózg dał ujście uwielbieniu swemu i grozie w pojęciach, i wyobrażeniach, których celem przedstawianie piękna lub brzydoty.

Z drugiej strony wywołało je wrażenie, jakie budzi w umyśle naszym objawienie dobra i zła, a także instynkt, pchający nas do wcielania zasad tego dobra i zła w siły wyższe, dobroczynne lub złowrogie.

Powstały wreszcie z nurtującej nas wiecznie żądzy wzniesienia się ponad nędzne nasze przeznaczenie za pośrednictwem olbrzymich przedsięwzięć i dzieł podniosłych, do jakich zdolne są tylko istoty urojone, silniejsze od nas.

Jak niańka kołysze i usypia niemowlę piosnką kojącą, tak wyobraźnia, ta wszechświatowa czarodziejka promienna, którą Hindusi nazwali *Maya*, zdołała przytłumić rodzące się lęki ludzkości uludą pięknych bajek: poetycznych, nadludzkich, behaterskich.

Śpiewała jej hymny, pełne zachwytu, słodkie, nadzieją brzemiennie poematy, gdzie każda wspaniałość wszechświata wcieliła się w geniusze cudotwórcze, od których szła radość i światło.

Taki był początek *Legend poetycznych*.

Wyobraźnia powiedziała ludzkości jeszcze, że po-

nad geniuszami istnieją bogowie a ponad bogami jedna istota najwyższa, która stworzyła świat, skazując go na walkę dobrego ze złem; wytłomaczyła, że uspokoją się jej obawy, skoro dojdzie do jasnego poznania natury tej istoty najwyższej; że nastąpi koniec walki dobrego ze złem, gdy umysły jej ogarną znaczenie tych dwóch żywiołowych potęg. To dało początek Legendom filozoficznym i religijnym.

Nakoniec, ażeby zaspokoić marzenia czynu i dać bodźca porywom niecierpliwej, żadnej przelania się na zewnątrz energii, — opowiedziała jej o wielkich dziełach istot urojonych, zdolnych do najwaleczniejszych i najnieprawdopodobniejszych zwycięstw. Tym sposobem powstały Legendy bohaterskie.

W miarę dojrzewania ludzkości, przybywały do porywających fikcyi inne, oparte już na gorzkim doświadczeniu, a zatem pełne rozczarowań. Dały one wyraz rozpaczyci człowieka, zwyciężonego w dążeniach swoich do chwały, wiedzy i miłości, lecz zarazem i temu zaciekłemu uporowi, z jakim, mimo wszelkie zdradliwe przeszkody, ścigał marzenia swoje. Do jakiegokolwiek epoki rozwoju ludzkości je zaliczymy, zawsze źródła ich szukać musimy w potrójnej potrzebie: nadziei, wiary, czynu.

* * *

Widzimy zatem, że Legendy daleko lepiej, aniżeli Historia odtwarzają przez ciąg wieków obraz duszy ludzkości.

Gdy tradycya historyczna ogranicza się na opowiadaniu o dziełach człowieka, tradycya legendowa szereguje marzenia jego, stanowiąc do pewnego stopnia metafizykę przeznaczenia ludzkiego.

Stąd jej doniosłość, godna uwagi,

Legenda uzupełnia historję tak dalece, że, opierając się na niej, możemy w sposób najzupełniej wiarogodny dowodzić wspólności pochodzenia naszego.

Podobieństwo pierwotnych podań hinduskich do tekstu Biblii, odtwarzającej główne ich zarysy, powtarzanie się tła wyobrażeń, które dały początek najróżnorodniejszym mytom wszystkich narodów świata, pozwalają nam wnioskować o jednolitości ich pnia wspólnego.

Nie będziemy wchodzili w rozbieranie zagadnień etnograficznych, do których nie czujemy się dostatecznie przygotowani. Czy prawdą jest, że Hindusi, osiedli nad brzegami Gangesu i Indusa, stanowili jedną z gałęzi wielkiej rodziny Jafeta, której druga odrośl zaludniła płaskowzgórze Iranu, gdy trzecia wzdłuż wybrzeży morza Czarne go dotarła aż do Europy, dając początek Grekom, Rzymianom, Celtom, Słowianom itp? Nie do nas należy rozstrzyganie tego.

To tylko powiedzieć musimy, iż pierwotne ognisko wszystkich legend, jakie poprzez dzieje ludzkości przekazały nam wieki, powstało wśród Indów, którzy nazwali się Aryami (to jest ludźmi szlachetnymi i czci godnymi.)

Od nich to padło na nas objawienie światła. Oni przekazali nam we wspaniałych poematach i cudownych bajkach olśniewającą wizję Boga, wcielonego w twory Swoje.

Święte ich księgi zawarły mądrość tak czystą, tak podniosłą i tak głęboką, iż zdaje się niepodobieństwem, by można ją było prześcignąć kiedykolwiek. Stworzono później inne religie, z mniej brutalnem pojęciem bóstwa, lecz żadna z zasad miłosierdzia, wszechmiłości i poświęcenia, na których się opierają, nie przynosi nic nowego w stosunku do doktryn, jakie

3000 lat przed naszą erą wypowiadali bramini pod wpływem nadprzyrodzonego jakby objawienia.

Nie zapuszczając się dalej w dziedzinę zagadnień religijnych, ograniczymy się na zaznaczeniu, iż w Indjach pierwotnych znalazły tak bujny rozkwit myty, bajki, symbole, iż wszystkie narody późniejsze wdychały w siebie woń tych kwiatów niezniszczalnych. Wszystkie porywające hipotezy, wszystkie pewniki głębokie odnaleźć możemy w zarodkach przedwiekowych fikcyi hinduskich. Przeniesiony pod inne nieba, zarodek ten rozwijał się w kwiat odmienny, prawie zawsze mniej bujny i okazały. Bogactwo symboli zastępował nieraz tylko wdzięk alegoryi, wpadając, niestety, zbyt często w przeczuloną pieśczośliwość. Wspaniałe myty, których echo słabło z biegiem wieków, przerodziły się w zręczne bajki i drobne morały.

Charakter pierwotnych legend hinduskich odpowiada bujnym swym przepychem środowisku przyrody, w jakim powstały, cyklopiicznej, pijanej życiem, cudotwórczej, pełnej najróżnorodniejszych i najpotężniejszych widoków, zdolnych zalerzyć i zapłodnić wyobraźnię ludu. Uwieńczona zawrotnymi szczytami najwyższych na globie ziemskim gór, niby koroną dymetów, — użyźniona największemi rzekami, ozdobiona bujnym kwieciem, skąpiana w woniach odurzających, ożywiona rojem fantastycznego ptactwa i innych wdzięcznych stworzeń, pokryta gąszczem olbrzymich, tajemniczych lasów, kryjących w łonie swoim groźne potwory, — bajeczna ta przyroda to orgia piękna i grozy, to złuda snu, majaczenie Boga, to przepaść z odbiciem chaotycznego obrazu nieskończoności w głębi.

Ona to, ta nieskończoność, obawa i lęk wobec jej bezmiaru natchnęły niewątpliwie wszystkie myty

hinduskie. Unicestwieni w rozważaniu istoty najwyższej, której dech niosło im wszechstworzenie, Aryowie stworzyli bohaterów, będących niczem więcej, jak tylko wcieleniem bóstwa. „Wszystko“, mówił Kryszna do swego ucznia Ardżuny — „jest w mojej mocy, jak paciorki w mocy sznurka, który je trzyma. Jestem parą wody, światłem księżyca i słońca, wezwaniem Wed, dźwiękiem powietrza, męską energią człowieka, słodką wonią ziemi, blaskiem płomienia, wiekuistym nasieniem wszechprzyrody... Jestem wiecznością samą; jestem paleniskiem, którego płomień zwraca się na wszystkie strony; jestem śmiercią, pochłaniającą wszystko; we mnie kiełkuje źdźbło tego, co nie poczęło się jeszcze...“

Myty hinduskie zostały zebrane prawie wszystkie w cztery olbrzymie literatury, stanowiące nietylko skarb poezji lirycznej i bohaterkiej, lecz uznane poniekąd jako pomniki różnych stopni oświaty aryjskiej. Są to: księgi Wed, Mana-Wakasta, Ramayana i Mahabarata.

Niepodobieństwem jest móżdżk rozwieść się szerzej w ramach niniejszego wstępu nad każdym z tych dzieł o olbrzymiej rozciągłości (Ramayana równa się Iliadzie i Odyssei, razem wziętym; 200,000 wierszy Mahabaraty są według Hindusów zaledwie luźnym urywkiem prawdziwej Mahabaraty, stworzonej dla użytku bogów i zawierającej 12 milionów wierszy). Przypomnijmy tylko mimochodem, że Wedy stanowią cudowne hymny religijne, sięgające 35 wieków wstecz; treścią ich potężne symbole, opiewające wielkie zjawiska ziemskie i stany dusz, wywoływane przez nie. Dodajmy, że Manavacasta czyli kodeks Manu (Manu — pierwszy człowiek) jest zbiorem prawodawstwa religijnego, moralnego i politycznego, nacechowanego podniosłą, żywą

i subtelną mądrością; nakoniec, że Ramayana i Mahabarata są arcydziełami epepei hinduskiej.

Z tych to dwóch poematów, uzupełnionych jeszcze innemi źródłami, wzięliśmy legendy o Ramie i Krysznie, uważając, iż poznanie ich w głównych zarysach przyniesie pewien pożytek czytelnikom. Odbija się w nich prawie cała dusza pierwotnych Aryów, pijanych poezją i zwycięstwami (Rama) i obdarzonych cudowną intuicyą najwyższych prawd moralnych (Kryszna).

* * *

*

Powiedziano gdzieś, że, jeżeli dzieciństwo ludzkości upłynęło w samotnych zaciszach Himalajów i na rozkosznych nadgangesowych wybrzeżach, to świetna jej młodość przeszła w Grecyi. Tam więc w zwierciadle niezliczonych legend, jakie nam zostawił kraj Muz, należy szukać nowych snów i rojeń człowieczeństwa.

Te to Muzy niebiańskie podszeptały Orfeuszowi w górach Tessalskich tajemnicę Liry, a także obrządków religijnych, odtwarzanych w ciągu wieków z rosnącą wciąż potęgą. Te to dziewięć sióstr roztaczały przed Hezyodem u stóp Helikonu czary mytów, objaśniających cuda wszechświata, pochodzenie bogów i bohaterów.

Legendy greckie różnią się zasadniczo od mytów hinduskich. Gdy duszę Aryów, objętą wirem zawrotnym wobec niezmierzonej potęgi póstwa, niepokoi lęk nieskończoności, — dusza grecka, mniej rozszalała na widok świata, poddała się prawom ścisłości, równowagi i harmonii tak w urojeniach swoich, jak w dziedzinie sztuki i wiedzy. W twórczej jej wyobraźni powstał symbolizm, który, zamiast materyalizować rzeczy duchowe,

przeciwnie, uduchowiał treść materyalną. Nie chodzi tu już o Boga, wielonego w istoty i siły stworzenia, lecz o ubóstwienie ludzi i energii przyrody. Czem są w rzeczywistości bogowie helleńscy, nie wiele pod względem władzy wyżsi od ludzkości, zmuszeni do walki z nią, w której niejednokrotnie chytróść zastępuje oręż, a zwycięstwo omija ich często?

Wybór wobec bezmiernej ilości mytów greckich był trudny. Podanie o Orfeuszu, synu Apollona, wielkim twórcy poezyi, muzyki i obrzędów religijnych powinno było znaleźć tu miejsce, gdyby nie to, iż, mówiąc o Krysznie, już przez to samo włączyliśmy legendę z cyklu religijnego. Zatrzymaliśmy się więc nad mytem o Prometeuszu i bajce o Psyche. Pierwszy jest w istocie swej najbardziej zaciekawiającym, ponieważ opiewa męczeństwo najpierwszego dobroczyńcy ludzkości. Drugi przyoblekł w ciało poemat duszy naszej, jej dążenia ku ideałowi, jej dostojne przeznaczenie.

*

*

*

Mijając kolejno stopnie umysłowego rozwoju ludzkości, dochodzimy do ery rzymskiej. Rzym, który zniszczył Grecyę i wogóle świat cały, stanowił tylko przejście dla wszechcywilizacyi europejskiej, a język jego był narzędziem, któremu późniejsze pokolenia za wdzięczają zrozumienie skarbów starożytności.

Może zadziwić czytelnika, iż z rumowisk państwa, które patrzyło na zachód słońca pogańskiego, nie uszczknęliśmy ani jednego kwiatka legend. Lecz czyż kwiat ten mógł wyrosnąć wśród umysłów, zajętych jedynie podbojami i walką? — Czy chciwa zaborczość nie zabiła wszelkich innych porywów? Jedynym ideałem Rzymian było panowanie nad swia-

tem i zwycięstwo narodowej dumy. Dokładnie dążenia te uwydatnia wiersz Eneidy:

Excudeat alii spirantia mollius, aera,
Credo equidem; vivos ducent de marmore vultus,
Orabunt causas melius; caelique meatus
Describent radio et surgentia sidera dicent
Tu regere imperio populos Romane, memento;
Hae tibi erunt artes, pacique imponere morem,
Parcere subjectis et debellare superbos.

Inni z większą miękkością wyrzeźbią i rozbudzą do życia bronz, macmur, bardziej wymownie będą popierali sprawy swoje, bardziej czarująco opiszą gwiazdy błyszczące i państwa niebieskie. Ty, Rzymianinie, pamiętaj, iż musisz ulegać krajowi, a panować nad narodami, narzucać prawo swoje zwyciężonym, oszczędzać ich, o ile się poddadzą, skuwać łańcuchami zbuntowanych i oto sztuka twoja“.

(Eneida, księga 14.)

W rzeczywistości, nie można powiedzieć, aby Rzymianie nie znali sztuki, dzieła jej znajdowali bowiem wszędzie, dokąd sięgały ich spustoszenia; gardzili niemi jednak, uważając, iż mogą służyć jedynie jako rozrywka.

To też jakkolwiek cywilizacja europejska przeszła przez Rzym, nie zawdzięcza ona nic jego wojennym zwycięstwom. Co wpłynęło na nią, to raczej ta dziwna, nowa religia, której pierwszych apostołów prześladowali Rzymianie.

Powstają legendy, obfitujące w szczegóły życia twórcy owej religii, Chrystusa. Jednym z najpoczyt-

niejszych i najbardziej żywotnych podań, jakie nam przekazała ta epoka, jest historia Żyda wiecznego tułacza.

Rozpowszechniana po wsiach przez wędrownych roznosicieli pod postacią skargi żałosnej nad dolą biednego Żyda, który od 33 wieków aż po chwilę obecną tuła się z miejsca na miejsce, wyganiany zewsząd, — bajka ta na pierwszy rzut oka nie zdaje się mieć tej doniosłości moralnej, jaką jej przypisujemy. A jednak już sam ten rozgłos, jaki znalazła w ciągu wieków, od pierwszej chwili swego powstania (prawdopodobnie około 4-go wieku w Konstantynopolu w epoce odkrycia prawdziwego krzyża świętego) już sam ten rozgłos każe przypuszczać w niej jakąś wyjątkową siłę żywotną. I istotnie, trochę tylko zastanowić się należy, by zrozumieć, jakie bogactwa przenośni zawarła w sobie postać człowieka, współczesnego Chrystusowi, który rozmawiał z nim; postać tułacza, który patrzył na skon Syna Bożego i pierwszych męczenników, który był świadkiem upadku kolosa rzymskiego i najścia barbarzyńców, który poprzez pomroki wieków średnich dostrzegł wspaniałą zorzę Odrodzenia, a którego dziś jeszcze, w chwili obecnej przedstawiamy, jak niegdyś gnanego z miejsca na miejsce z krzykiem bólu na ustach, że należał do tych, co krzyżowali Chrystusa.

„Żyd wieczny tułacz“ to cała karawana ludzka, wędrująca przez bezdroża w smutku i zmęczeniu, ponieważ wyzbyła się zasad miłosierdzia, litości, sprawiedliwości, przyczyniając się tym sposobem do ponawianego wciąż dzieła krzyżowania Boga swego. Pcha ją naprzód ustawicznie głos niezmordowany: „Idź, idź! Przekleństwo moje towarzyszyć ci będzie aż po dzień, w którym posłuchasz nauk moich. Ja to

bowiem odkryłem prawdę jedyną, mówiąc: „Kochajcie jedni drugich!...”

* * *

Ponure były te dziesięć wieków, nazwane w historyi Wiekami Średnimi. Myśl ludzka zdaje się obumierać zwolna pod dławiającym strachem przed Bogiem groźnym, bezlitosnym tyranem, skazującym na przeraźliwe męki za każde najłżejsze uchybienie żądaniom władzy duchownej, za każdy śmielszy polot umysłu, który zapomniał, iż tylko do pewnych granic wolno mu się wznosić.

Poezya nie mogła wybujać w tej ciężkiej atmosferze. Władza nie miała prawa uznawać żadnych odkryć, nie zgadzały się one bowiem z zasadami Kościoła i bywały odrazu ogłaszane, jako herezya. Jedną tylko alchemię uprawiano z zaciekłością niezwykłą. Do pomocy przyszło jej czarnoksięstwo i magia, tem więcej poszukiwane, im cięższe kary groziły ich wyznawcom.

Właściwie nie Bóg bezlitośny napełniał umysły grozą i niepokojem, lecz strach przed dyabłem. Władza dyabła w tym czasie znalazła daleko większe uznanie, aniżeli władza Boga, i ktokolwiek zdobył na tyle wiedzy, by zostać czarnoksiężnikiem, już przez to samo uchodził za narzędzie potęg szatańskich, gdyż słowo „czarnoksiężnik“ znaczyło „sługa szatana“. Stąd ta obawa a zarazem ciekawość w obec magii. Zostać czarnoksiężnikiem było skazać się na potępienie, lecz za cenę jakichże nadzwyczajnych ziemskich korzyści! — Dowodem podanie o czarnoksiężniku *Fauście*, którego nie podobna było nie przytoczyć, jako najcharakterystyczniejszego obrazu zabobonów tej epoki.

Prócz czarnoksiężników i czarodziei obdarzały

Wieki Średnie potęgą tajemniczą także i istoty urojone, a mianowicie wróżki. Były to jednak zjawiska zbyt nadpowietrzne, zbyt czarujące i uśmiechem opromienione, by mogła je stworzyć ponura, ciężka wyobraźnia ówczesnej Europy. Wdzięczne te mamidła, lekkie, jak mgła, świeże, jak rosa poranna ze złotymi różdżkami, niby z promykami księżycy w rękach, przeszły do nas żywcem z bajek arabskich. Na mroki Wieków Średnich padło trochę umysłowego światła tylko od ludów Mahometa, które zetknęły się w tym czasie z Południem Europy. Świetne, upajające te fikcje były właściwie pochodzenia perskiego. Przeniesione do Arabii przez jakiegoś kupca z Persyi, wywierały taki podniecający wpływ, że wielki prorok wpadł w obawę, aby pod urokiem ich nie przygasły obrazy koranu. Peri i Neri oto wróżki, które odegrały niezmiernie wybitną rolę w literaturze naszej, zwłaszcza za czasów rycerstwa.

Urgela, Morgana, Meluzyna itd., itd., tyle uroczych legend do opowiadania! — Żadna z nich nie ma w sobie ani tyle znaczenia filozoficznego, ani tyle odblasku duszy ludzkości, by móżdż zająć miejsce w tej książce.

Jedna z nich wszakże, mianowicie legenda o Wivianie i Merlinie zasługuje na odtworzenie, nie tylko ponieważ stanowi symbol miłości, zwyciężającej geniusz, ale także jeszcze ponieważ przepowiednie Merlina znalazły taki rozgłos, że nazwisko jego obiega większość podań z VI-go i VIII-go wieku, a nawet z czasów poprzednich. Uznano w nim proroka wszystkich wojen późniejszych i śmierci wszystkich sławnych postaci historycznych; wróżby jego były objaśniane i tłumaczone przez Alain de Lille, jednego z najgłośniejszych po Abailardzie scholastyków. W XIV-ym

wieku jeszcze liczono się z niemi i na nich to mianowicie opierał Edward II uroszczenia swoje do korony francuskiej. W następnem stuleciu więcej, aniżeli kiedykolwiek, stały się przedmiotem wiary powszechnej. Między innymi zwiastował Merlin: „Zapadną się w gruz domy, słońca; dwanaście wieków Zodyaka wy powie sobie wojnę, a wówczas na grzbiecie Strzelca zstąpi dziewica“. Było to tłumaczone, jako przepowiednia misji Joanny d'Arc, powołanej do zbawienia Francji! — Prócz tego imię Merlina związane jest z imieniem króla Artura, na którego dworze przebywał, a także z rycerstwem Okrągłego Stołu, bohaterami tysiąca podań ludowych. Niepodobieństwem więc było pokryć milczeniem legendę o człowieku, którego słowo znalazło taki doniosły i długotrwały odźwięk we wszystkich umysłach.

Ponieważ potrąciliśmy o osobę Artura i o rycerstwo Okrągłego Stołu, skorzystajmy ze sposobności, aby stwierdzić, że, jakkolwiek Wieki Średnie były epoką ponurą i nieznośną przez ucisk zabobonu i tyranję feodalizmu, to jednak wniosły z sobą rzecz nie do pogardzenia, mianowicie: kult ideału bohaterstwa, który stworzyła rycerskość.

Najsłynniejszą z pieśni, odtwarzających tę epokę, jest „Pieśń o Rolandzie“.

Cały świat wie, iż postać Rolanda w tej wielkości, w jakiej ją widzimy, wyrosła w bajkach jedynie. Historia notuje tylko, że był rządcą marchii Bretanii i że padł w przejściu przez Pireneje, broniąc Galie przed Saracenami. Dusza narodu jednak, podniósłszy go do rzędu najulubieńszych bohaterów, przyznaje mu nieposkromioną odwagę, siłę cudowną, a także niezwykłą uczciwość wobec wszelkich pokus i miłość sprawiedliwości, która czyniła go wszędzie obrońcą

praw słuszných. Krótko mówiąc, wcieliła ona w tę postać tak dalece porywy bohaterstwa swego, że, podniesiona przez fikcyę, a wreszcie unieśmiertelniona w pięknym poemacie, osoba Rolanda przeszła z historyi do legendy, by jaśnieć obok najbajeczniejszych bohaterów.

To powinno było skłonić nas do skreślenia w dalszych rozdziałach wielkich czynów, jakie mu przypisuje tradycya. Ograniczeni jednak rozmiarami niniejszego tomu, usiłowaliśmy odtwarzać jedynie legendy o charakterze różnorodnym, a fikcyja epiczna już była przedstawiona w mycie o Ramie.

Zresztą wydało nam się zarówno bezużytecznem, jak i zuchwałem rozwódzić się szerzej nad dziejami, które cały świat poznać może z pięknego poematu Théroulde'a „Pieśń o Rolandzie“, zbyt krótkiego, aby go streszczać. Ciekawi niech zajrzą do niego.

* * *

Doprowadziliśmy ludzkość do nowej epoki, słusznie nazwanej Odrodzeniem, którego początek zapowiada Boska Komedia Danta.

Wschodzi zorza, uśmiechem promienna, zwiastując Zachodowi erę radości, wielkie święto wyswobodzenia duchowego. Stają w blaskach tego światła ożywczego potężni zesłańcy: Dante, Petrarca, Boccaccio, wskazując źródło, z którego ludzkość zaczerpnąć może odmłodzenie myśli, wodotrysk, strzeżony przez Muzy starożytne.

Ludzie pierwszych wieków, Grecy i Latynowie, kochali przyrodę, odnajdując w niej żywotność niezrównaną.

Odrodzenie wnika w tajemnicę tej siły.

Zmartwychwstała energia znajduje ujście w czy-

nach, pełnych chwały lub w grozę ziejących występ-
kach, spełnianych przez jednostki, których dzieje u-
siane stekiem sprzeczności, sięgają krainy bajek.

Są to awanturnicy, zdobywcy i bohaterowie, jak :
Krzysztof Kolumb, który, rzuciwszy się na fale Atlan-
tyku, odkrywa świat zachodni; Vasco de Gama, od-
najdujący świat wschodni; Magellan, Ferdynand Kor-
tez, Albuquerque; Pizarro, biedny świnopas, który
odkrywa Peru; admirał Doria; Gonsalvo z Korduby;
Bayard, rycerz bez strachu i zarzutu. Są to księżęta,
pijani chwałą wojenną, jak Franciszek I, król rycerski,
Karol V, cesarz potężny; Soliman, Hariaman Rudo-
brody, obrońcy Islamizmu Borgiowie, uzbroje-
ni w truciznę i oręż; Filip II, morderca synów
swoich: prawego i nieprawego, ponura postać, oświe-
tlona dzikiem blaskiem płonących stosów Inkwizycyi.

Są to pracownicy myśli, jak : Savonarola, zbunto-
wany przeciw władzy Kościoła; Luter, zwalający i
przeobrażający dogmat; Montaigne, którego pomruk :
„Co ja wiem?“ — („Que sais-je?“) unosi się nad
chaosem wydarzeń; całe rodziny drukarzy: Scaligero-
wie, Manucci, Estienne, a także E. Dolet; Rabelais, ge-
nialny satyryk o niewyczerpanej wyobraźni, twórca
wiekopomnych typów: Panurga, Pantagruela i Gargan-
tui; Aretin, wynalazca pamfletu, który dał początek
dziennikarstwu; Macchiavelli, komedyopisarz, historyk
i polityk przebiegły; Erazm, filozof o wytwornej iron-
nii, który zgłębia mądrość, czerpiąc ją z zestawiania
maksym starożytnych i pisze: „Pochwałę głupoty“, aby
uniknąć braku poczytności, przywiązanego do tytułu
uczonego; Tomasz Morus, utopista; Paracelsus, który
w gonitwie swojej za kamieniem filozoficznym i za
tajemnicą robienia złota natrafia na cynk i rtęć; We-
saliusz, twórca anatomii; Herwey, wykładający teoryę

krażenia krwi; Bacon, od którego rozpoczyna się filozofia doświadczalna; Kopernik, wynalazca systemu planetarnego; Galileusz, potwierdzający, wbrew inkwizycji, odkrycie swego poprzednika.

Są to poeci, pełni czaru, jak: Ariosto, śpiewak uroczy; Tasso, rzucający w świat żalostną, poważną skargę; Camoens, który, uniknąwszy skutków rozbicia się okrętu, umiera w szpitalu; Cervantes, żołnierz awanturniczy, wyszydzący w Don Kiszocie przygody rycerskie; wreszcie niezrównany Szekspir, który z wyżyny desek scenicznych ciska krzyk wszystkich namiętności ludzkich, upajając bądź czarami najbujniejszej wyobraźni, bądź muzyką najrozlewniejszego liryzmu.

Są także artyści: Leonardo da Vinci, malarz, inżynier i uczoney, mistrz bezprzykładnie samodzielny, którego osobą zaszczyca dwór swój Franciszek I, zapraszając również i Andrea del Sarto; Tycyan, którego pędzel magiczny podnosi z ziemi Karol V; Tintoretto, Veronese, Giorgione i inne chwały weneckie; Rafael Sanzio, melancholijny czarodziej; Michał Anioł, budowniczy, rzeźbiarz i malarz, olbrzym niedościgniony, łączący w sobie potęgę geniuszu z potęgą pracy i podniosłością myśli; Benvenuto Cellini, cierpliwy i uroczny pracownik; Holbein, wydarty Bazylei za cenę złota przez Anglię; Albert Dürer, którego męski rytec zatrzymują u siebie zazdrosne Niemcy,

Tyle chwały, bohaterstwa i tyle zbrodni zarazem, taki polot umysłów, takie promieniowanie sztuki: czyż to nie zjawia bezprzykładnego blasku?

Epoka ta to jakby potężne zaczarowane widowisko, zrodzone w wyobraźni najbardziej nieokiełznanych geniuszów i odegrane przez największych artystów.

To też Odrodzenie obchodzi się bez wielkich le

gend urojonych, gdyż samo przeżyło sen wspaniały. Były ono w naistotniejszym znaczeniu tego słowa erą czynu.

Jednak w drobniejszych podaniach tej epoki spotykamy postać człowieka, łączącego w sobie do pewnego stopnia wszystkich tych ludzi, których czyny, tak różnorodne, usiłowaliśmy zebrać w niniejszym szkicu pośpiesznym.

Człowiek ten, najznakomitszego pochodzenia, nie ustępujący zuchwałością swoją największym awanturnikom tego okresu, namiętny, jak bohaterowie najwspanialszych dramatów, pełen czaru, o jakim nie śniło się nawet najbardziej wzruszającym poematom, — człowiek ten, porwany żądzą czynu, która nie znalazła należytego ujścia, porwany szałem miłosnym, wywołującym pościg za nieuchwytnym ideałem, pędził życie najbezładniejsze, najruchliwsze, najrozwiązlejsze, najpiękniejsze i zarazem najbardziej poniżenia godne, jakie wyobrazić sobie można.

Był studentem, żołnierzem, pielgrzymem, rzuconym w wir najróżnorodniejszych przygód, przeszedł szkołę najwyższej rozrzutności, rozpusty i przewrotnej fanfaronady; popełnił wszystkie możliwe grzechy i bezbożności, puszczał się na nieopisane bluźnierstwa, a skończył na pokucie w mnisim habicie.

Człowiek ten to Don Juan, najdokładniejsze odbicie epoki, rozrzucającej na prawo i lewo z nieokiełznaną zapalczywością, bez oglądania się na cokolwiek, siły swoje żywotne, epoki, która zostawiła po sobie rodzaj wizyi rozpustnej, niezrównane omamienie.

Odtworzyliśmy zatem i tę legendę, mimo trudności, jakie nastęrczało stręczenie jej po tylu mistrzach, którym dała natchnienie.

* * *

W okresie nowożytnym możemy już tylko zaznaczyć zanik legend. Wróżka wiedza narzuciła teraz nadprzyrodzoności cuda swoje, tłumacząc wiele zagadek, które w ciągu wieków niepokoiły ludzkość.

Niepokój ten wzrósł w zetknięciu się ze światem niewidzialnym, do którego progu dotarła wiedza, usiłując omackiem otworzyć drzwi. W czasie tych prób niejednokrotnie jeszcze będzie musiała zwracać się do jasnowidzenia wyobraźni, aby światłem jej pochodni rozproszyć tajemnicze mroki. Nim powstaną dogmaty, wytworzą się zwolna nowe symbole, bardzo ogólnikowe, bardzo niedoskonałe, lecz przeczuciem jądra prawdy brzemienne.

Stare myty zdołały skonać, jak skonały dawne systemy filozoficzne. Jak jednak, mimo zaniku dorywczych tych systematów sama filozofia trwa, tak samo trwa potrzeba symbolizowania. W zetknięciu się ze zjawą wszechświata umysł ludzki bowiem nie może poprzestać na prostem zaznaczeniu tylko, że go widzi; poza zjawiskami szuka zasad, tworzy je i usiłuje przedstawić; fizyczne pojęcie rzeczy ulega rozdwojeniu, dopełniając się pewnego rodzaju pojęciem metafizycznym; wrażenia wywołują idee, czyli wyobrażenia symboliczne.

To nie ulega zaprzeczeniu; najpotężniejszy, zarówno jak i najuboższy mózg musi ulegać tym prawom, a nie zdawać sobie z tego sprawy znaczy potwierdzać tylko to, że się uprawia symbolizm, jak uprawiał molierowski Jourdain prozę, nie wiedząc o tem.

Myśli nasze podlegają określeniom słów, stanowiących drobne obrazy, drobne symbole, które przechodzą w symbol szerszy, niemniej od form językowych utrwalany w naszej pamięci. Tych wielkich symboli dostarczyły nam myty.

Dziś, naprzykład, gdy podboje wiedzy pochłaniają nas coraz bardziej, czyż nie jest widoczne, iż umysły nasze zwracają się ku dawnym legendom, a mianowicie: ku legendzie o Prometeuszu, który skradł ogień z Olimpu; o Psyche, która rozpałała płomień lampy swojej, by rozproszyć ciemności, jakimi chciał otoczyć się jej boski kochanek; o Fauscie i Don Juanie, duszach, żądź pełnych, chciwych poznania wszytkiego?

Należy powątpiewać, czy kiedykolwiek ulegną zapomnieniu myty, zawierające objawienie przeznaczenia ludzkiego. Przypuśćmy raczej, iż na wzór gmachu wiedzy pozytywnej, wyrosłego wśród strzaskanych kolumn starożytnych hipotez, stanie kiedyś potężny symbol filozofii i moralności z rumowiskiem starożytnych fikcyi u podstaw.

I.

Legenda o Ramie.

W pysznej Ayodhyi rozbrzmiewają głosy lir i win,*) pomieszane z radosnym gwarem tłumów. Na frontonach świątyń i wspaniałych pałaców, wzdłuż rzeźbionych przedmurzy ponad szerokimi alejami kołyszą się w błękitnem, lekkim powietrzu girlandy kwiecica i różnobarwne jedwabne chorągiewki. Miasto w przybraniu świątecznem z dreszczem niepokoju oczekuje koronacyi księcia Ramy, któremu tego dnia, przekazuje następstwo tronu ojciec, król Dasaratha, starzec, liczący dziewięć tysięcy lat.

Wszyscy cieszą się z tego, gdyż Rama, którego imię znaczy „ten, który każe się kochać“, jest księciem sprawiedliwym i odważnym, zasługującym na zaufanie.

Naród uwielbia go za niezliczone dobre czyny. Zgładził on już moc potworów i tysiące razy obronił braminów przed groźnym wrogiem. Djaneka, król Wi-

*) Najdawniejszy instrumet hinduski.

dehi, ojciec promiennej Sity, przysiągł oddać rękę córki tylko temu, co zdoła zgiąć łuk boga Siwy, potężny łuk, który 800 ludzi zaledwie zdołało uciągnąć na pięciokołowym wozie. Rama nie tylko zgiął, lecz nawet złamał łuk, więc został mężem najpiękniejszej kobiety. Książę ten, obdarzony nadludzką siłą, ma jednak jeszcze stokroć większe zalety: jeżeli odwagą dorównywa Indrze, mocą rozumu nie ustępuje w niczem Vrihaspati. Jest wolnomyślny, pełen miłosierdzia, wytrwały w postanowieniach, dotrzymuje obietnic; mowa jego pełna dobroci i przychylności.

„Sądzi on, iż większym zaszczytem jest dotrzeć do szczytów wiedzy, aniżeli do stopni tronu, to też woli raczej wyrzec się życia, jego bogactw i najmiłszych rozkoszy, aniżeli stanąć w sprzeczności z prawdą“.

Nikt więc bardziej od niego nie wydaje się godnym następstwa po starym królu Dasaratha.

A jednak ma i on zazdrosnych.

Kikéhi, najmłodsza, najpiękniejsza i najbardziej ukochana małżonka Dasarathy, marzyła zawsze o berle władzy najwyższej dla syna swego i którejś nocy miłosnej zdobyła od króla obietnicę, iż złoży koronę nie na czole Ramy, lecz na głowie młodszego jego brata, Bharaty.

Dasaratha zapomniał o przyrzeczeniu, w dniu, wyznaczonym na koronację, Kikéhi zażądała jednak spełnienia go.

Król odmówił. Rama jest synem najstarszym, Rama tylko ma prawo do korony.

Kikéhi wszakże wzrusza go swoją boleścią i łamie rozkoszną pieśczętą; starzec ustępuje półświadomie,

*) Ustępy w cudzyłowie są wyjątkami z Ramajany.

niezdolny do zwalczenia władzy tej przebiegłej czarodziejki, której przyrzeka wygnanie Ramy z kraju na lat czternaście.

Wezwawszy starszego syna, ze łzami w oczach zwiastuje mu postanowienie swoje, tłumacząc, iż znievoliła go do tego dawna przysięga.

Rama ulega, a nawet z niezrównaną spaniałomyślnością pociesza ojca i matkę swoją, dotkniętą do żywego zarówno w czułości swej macierzyńskiej, jak i w dumie małżonki.

„Królowo“ — rzecze — „w uczuciu swem dla mnie nie buntuj się przeciw woli małżonka: oto postępowanie, jakie przystoi godności naszej“.

To samo powtarza zgneębionym swym przyjaciółom, którzy zaczynają sarkać na wyrok króla, zmożonego wiekiem.

Lecz oto próba najcięższa. Wygnaniec żegna małżonkę swoją, błagając ją, by pozwoliła mu odejść samemu.

„W lasach, które zamieszkał, tysiące niebezpieczeństw. Co za rozkosz miałabyś ze mną, gdy z ciała mego, przetrawionego umartwieniem, zostanie za ledwie suchy, skórą pokryty szkielet? Co do mnie, patrząc na nikałą pod smaganiem wichru, spiekoty i żarów słonecznych promienną cerę twoją, na wątłe ciało, wyczerpane postem i umęczeniem, czułbym jeszcze ból stokroć dotkliwszy. Zdała ode mnie, nie przestaniesz być we mnie, nie zejdziesz z myśli moich“.

Sita odpowiedziała jednak: „Nie lękam się niczego: ani lwów, ani tygrysów, ani dzików, ani innych drapieżnych i zjadliwych zwierząt. Czyż kły ich i żądła mogą napępniać mię grozą, gdy ramię twoje osłoni mię przed niemi? — Umrzeć tam zresztą lepiej, ani-

żeli żyć tu bez ciebie... Nie opuszczę ciebie: to ostatnie moje postanowienie“.

Wobec takiej miłości i takiego poświęcenia zwyciężony Rama unosi małżonkę w potężnych swych ramionach i okrywa ją pocałunkami.

„Tego tylko mogłem oczekiwać po tobie“ — woła. — Jeżeli powiedziałem: „odmawiam uprowadzenia ciebie z sobą“, to jedynie dlatego, iż pragnąłem upewnić się co do postanowienia twego, niewiasto, w której wszystko jest czarem... Jeżeli z miłości dla mnie nie zważasz na niebezpieczeństwa, któremi przyroda usiała wnętrza lasów, byłoby mi tak samo niepodobieństwem wyrzec się ciebie, jak mędrcomi odtrącić chwałę swoją“.

*

*

*

Silni uczuciem, małżonkowie z radością udali się na wygnanie w towarzystwie Lakshmany, drugiego brata Ramy.

Przeprawiwszy się przez Yamunę na bambusowych tratwach, dotarli do góry Czitrekorita, pokrytej bujnym lasem. Pod namiotem z lianów szczebiocze tam niezliczone ptactwo. Pawie o długich, złocisto-szmaragdowych oczach utkanych ogonach puszą się wobec gazelli; śpiew „kokillasów“ rozbrzmiewa naprzemian z potężnym rykiem słoni. Kochankowie wpadają w zachwyty wobec tylu cudów.

„Patrz, ukochana, jak nad brzegami Mandeki przyroda zasłała dla nas pod każdym drzewem łoża, usiane kwiatami!...“

„Sito o wielkich oczach, czy widzisz rozkwitłe nad brzegiem rzeki i jakby w ogniu „kinsonkas“? — Patrz na ten las „karnikerasów“, rozświetlony płonącym, jak złoto, wspaniałym kwieciem. Patrz na

„balatakasy“, „wilwy“, na wszystkie te drzewa, których gałęzie uginają się pod ciężarem owoców...”

Och, jak prędko wobec tych cudów zdołali zapomnieć o wygnaniu, by żyć tylko zachwytem i radosnem marzeniem!

Pewnego dnia wszakże Rama podlega niebezpiecznej pokusie. Przez cichy las, w którym znalazł schronienie, podąża armia potężna, złożona z 10,000 słoni, 60,000 psów wojennych i 100,000 jeźdźców. Dowodzi nią sam Bharata.

Nie przebywa jednak we wrogich zamiarach. Przeciwnie, pragnie bratu zwrócić koronę. Król Dasaratha zmarł, a Bharata nie chce dłużej panować nieprawnie, oznajmia więc Ramie, iż gotów jest odprowadzić go w tryumfie do Ayodhyi.

Wzruszony tym postępkim bohater chwieje się przez chwilę, lecz nie zdążył nawet zasięgnąć rady Sity wzrokiem, gdy już zapadło w nim postanowienie.

„Wola oja jest dla mnie świętą“ — odpowiada. — Ty to masz panować, bracie mój. Jeżeli matka twoja była amibitną za ciebie, to tylko przez miłość. Szanuj ją. Wracaj do pięknego twego królestwa i postępuj tak, aby poddani twoi cieszyli się tobą“.

Bharata jednak odmawia zatrzymania korony. Ponieważ wyrzeka się jej ten, który jedynie był godnym nosić ją, niechaj nie ma właściciela. Syn intrygantki Kikéhi zostanie ascetą i tylko sandały królewskie, postawione u stóp tronu, będą przypominały Ayodhyi księcia na wygnaniu.

* * *

Oddani miłości, małżonkowie ciągnęli dalej w lesie zaczarowanym życie, pełne zachwytów. Mieli wrażenie, jakby w sercach ich tętniła dusza świata i wszystkie

radości rajy Indry przypadły im w udziale, gdyż od piękna całego otoczenia szła ku nim rozkosz nieskończona, wibrując w nich i przenikając ich nawskróś.

Wszystko zdawało się zwiastować im szczęście tak wieczne, jak wieczną miała być ich miłość.

Niestety, jednak w cudownym lesie ukazał się któregoś dnia okrutny olbrzym, Rawana, król demonów, Rakszasów. Na widok promiennej Sity potwór dziesięciogłowy zapalał do niej nieposkromioną namiętnością, żyjąc odtąd jedną tylko żądzą wyrwania jej z ramion męża i zdobycia dla siebie.

Znając jednak niezwycone męstwo Ramy, zrozumiał odrazu, iż zamiar jego może się udać tylko dzięki chytrności.

Pewnego dnia zatem, urządziwszy wszystko tak zręcznie, że udało mu się usunąć księcia i brata jego Lakshmanę od Sity, przedstawił się jej w przebraniu żebraka. Zamruczawszy kilka udanych modlitw dla niepoznaki, zaczął ją kusić:

— „Kobieto o uroczym uśmiechu, zrodzona dla rozkoszy, jak mogłaś przystać na życie, pozbawione uciech, skazana na cierpienia w lesie odludnym, gdzie goła ziemia jest ci łożem, a pożywieniem korzonki i dzikie owoce? — Słuchaj, ja nie jestem tym, którym ci się być wydaje... Istota, będąca sama w sobie, nadała mi prawo przyjmowania wszelkich kształtów... Siła moja znalazła rozgłos w całym świecie... Stań na czele wszystkich moich kobiet, pierwsza w rządzie moich żon, które jaśnieją blaskiem najwyższej piękności... Chodź ze mną, ty promieniejąca. Jak krzak kwiecisty, wprowadzę cię do swej świętej stolicy Lanki, położonej na najpiękniejszej z wysp morza i pałacami, bogatemi tarasami, niby księżką z piór, zdobnej...“

Sita zrozumiała niebezpieczeństwo.

— „Idź precz, nędzny oszuście! — Pozostaną wierną Ramie, temu bohaterowi, niewzruszonemu, jak skała. Nie, ty mnie nie splamisz, jak nie mógłbyś splamić promieni słońca“.

Wówczas rozszalały wściekłą miłością Rawana zrzucił z siebie postać żebraka i ukazał się w całej pełni swej potwornej grozy, olbrzym dziesięciogłowy o łopatkach byka, jelenich zębach i włosach z płomieni.

— „Aha, nie znasz mnie — ryknął. — Ponieważ nie chcesz dobrowolnie, użyję przemocy. Wiedz, że siła moja nie ma sobie równych i niczem jest wobec niej nawet siła twego męża. Wiedz, że potęgą ramion swoich mógłbym dźwignąć ziemię i zabić śmierć, gdyby wypowiedziała mi walkę! — Widzisz więc, iż jestem panem twoim! “

Rzucił się na Sitę, porwał ją i uniósł z sobą w las.

„Rama, Lakshmana, do mnie!“ — krzyczała szalona trwogą kobieta.

Rama i Lakshmana jednak byli zbyt daleko, by móc ją usłyszeć, a król Rakszasów szybko, jak wichur nawałnicy, pędził ze zdobyczą swoją. Sita zdołała rzucić za siebie tylko garść klejnotów, by ułatwić odnalezienie śladów swoich.

* * *

Jakaż była rozpacz Ramy i brata jego, gdy za powrotem do pustelniczej chaty w lesie nie zastali Sity! — Napróżno zaczęli nawoływać we wszystkich kierunkach boru. Bezowocność poszukiwań wzmogła ich przestrasz.

Nad wieczorem jednak spotkali małpę Hanumata, syna Maruta czyli wiatru i od niego dowiedzieli się o całej grozie nieszczęścia. Rawana uprowadził Sitę

aż do stolicy swojej Lanki, gdzie powierzył ją znowu swoim Rakszasom, polecając im użycie wszelkich możliwych środków: dobroci, pochlebstwa, chytryści i męzarni dla owdzięcia jej duszą i zmuszenia do zapomnienia o mężu. Hanumat oznajmił, iż zaprowadzi chętnie Ramę i Lakshmanę do Sugriwy, króla małp, przy którego pomocy, jak twierdził, uda się zmódcz Rawanę.

Szaleni bólem, chciwi zemsty, bracia przystali na to i zawarli wkrótce przymierze z Sugriwą. Hanumata, któremu powierzono dowództwo nad strażą przednią, udał się na południe dla wywiadów. Na skrzydłach wichru, ojca swego, przebył morze i, niewidzialny, dotarł do Lanki.

Szukając wszędzie Sity, dostał się do cudownego pałacu króla Rakszasów —

„do pałacu, lśniącego złotemi kratami, do pałacu o ścianach, zdobnych kością słoniową, pełnych woni rozkosznej, woni wytwornej, odurzającej, niebiańskiej, którą wydawały napoje, perfumy i wiązanki kwiecia... tam spostrzegł tysiące kobiet uderzającej piękności, leżących na bogatych dywanach w najróżnorodniejszych kostjumach. Drzemały, ta z ręką, podłożoną pod głowę, tamta oparta o nogi, boki lub biodra sąsiadki... Tak splecione, tworzyły girlandę lśniącą, jak wiązka kwitnących lianów w miesiącu madhary...“

Sity jednak nie było między niemi; odnalazł ją dopiero w gromadzie Rakszasów, przerażających potworów o paszczach krokodyli, mordach dzików, głowach węzów, pyskach tygrysich — te bez ust, tamte z jednym tylko uchem lub jednym okiem, a wszystkie razem zajęte pożeraniem ciała i krwi.

Nagle ujrzał nadchodzącego Rawanę, „rozpalonego pijatyką, pysznego, okrytego klejnotami. Setka kobiet

szła za nim z wachlarzami, oganiaczkami od much i bogatemi, dzwoniącemi u stóp ich „nupuras“.

Król Rakszasów na nowo próbował uwieść Sitę:

— „Kocham cię, niewiasto o wielkich oczach“
— powtarzał. — Och, nie uzbrajaj się nienawiścią przeciwko mnie... Zaufaj mi; nie lękaj się niczego; daj mi miłość swoją; nie pograżaj się tak w ciągłej bóleści... Włosy, które nosisz związane w jeden warkocz tylko, jak wdowy, rozmarzenie twoje, suknia zapyłona, niechęć do kąpeli i post, wszystko to nie dla ciebie. Trzeba ci kwiatnych wieńców, woni aloesów i sandałów, szat niebiańskich, pysznych wiązanek, łoża wytwornego, tronów wspaniałych, śpiewu i tańca i dźwięku narzędzi muzycznych, gdyż stawiam cię na równi z sobą, księżno Widehi!...“

Na czułą tę pieśczętę Sita odpowiadała słowami oburzenia i niesmaku.

Rawana odszedł z wściekłością, grożąc jej, że zginie w najstraszniejszych męczarniach, jeżeli przed upływem miesiąca nie odda mu się.

Wówczas Hanumat przystąpił cichutko do rozszlochanej kobiety:

— „Królowo, nie trać odwagi! — szepnął jej do ucha — małżonek twój i brat pozdrawiają cię przeze mnie... Oto pierścień złoty, który wręczył mi Rama, abyś nie wątpiła, że jestem jego posłem... Przybывamy ci na pomoc; bądź cierpliwa i mężna!“

Spełniwszy zlecenie, małpa przebyła morze odwrotnie i połączyła się z Ramą.

Można sobie wyobrazić gorączkowy pośpiech, z jakim książe zarządził pochód, dowiedziawszy się o męczeństwie i wytrwałej wierności małżonki!... Wkrótce z niezliczonym małym wojskiem pod dowództwem Sugriwy podążył na brzegi morza, oddzie-

lającego go od Lanki. By je przebyć, trzeba było zbudować most olbrzymi. Przejście wojska po ukończeniu tej potężnej pracy wymagało całego miesiąca. Poczem rozpoczął się pod murami Lanki szereg bitew nie do opisania. Padały w wojujących obozach niezliczone ofiary małąp i potworów.

Po jednym z bojów Rawana, sądząc, iż zwycięży Sitę podstępem, kazał zanieść jej jakąś głowę odciętą, niezwykle podobną do głowy jej męża.

— „Rama umarł — rzekł — nie nie staje na przeszkodzie zatem, żebyś była moją...“

Sita ścisnęła dłońmi kurczowo twarz okrwawioną i okryła ją pocałunkami. Na podszepty Rawany odskoczyła ze zgrozą:

— „Ach! — zawołała — zabij mnie raczej!“

I usiłowała sama odebrać sobie życie, ale jedna z dyablic Rakszasów, zdjęta litością, odkryła niecne oszustwo jej pogromcy.

Walka między dwoma nieprzyjacielskimi obozami trwała wciaż, zaciekła i krwawa.

Wkrótce stanęli przed sobą oko w oko dwaj współzawodnicy, Rawana i Rama.

Co za straszne zetknięcie! — Wszyscy bogowie i półbogowie zebrali się, by patrzeć na nie. Przeciwnicy wymienili zrazu grad zaczarowanych pocisków „gwałtownych, jak piorun, a tak palących, iż zdawało się, że słońce, księżyc i planety padają z nieba w płomieniach“.

Wynik walki jednak pozostał niepewny. Wówczas Rama wstąpił na wóz Undy, Rawana zaś na wóz, „podobny do obłoków, zaprzężony ponuremi końmi“.

Wrogowie natarli na siebie, jak dwa pijane szaleńcy i namiętnością, współzawodniczące słonie... Pojedy-

nek trwał całych dni siedemnaście bez przerwy na dzień jeden, noc jedną, na godzinę, nawet na minutę...“

Nagle Lanka stanęła w promieniach zorzy wieczornej, „podobnych do kwiecia krzaku chińskiej róży... i potężny krzyk zwycięski przeszył niebo; wydali go bogowie na cześć Ramy, który zabił króla Rakzasów potężnym dzirytem, ukutym niegdyś dla boga Indry przez siebie samego.

Zdjęte przerażeniem, wojsko Rawany uciekło w rozsypce do Lanki.

Żołnierze Ramy i Sugriwy dotarli tam jednak za nimi i wtedy powstała straszna rzeź.

Położyło jej koniec dopiero wstawiennictwo Sity, która chciała okazać się wielką zarówno w dobroci, jak i męstwie.

*

*

*

Zetknąwszy się wreszcie z mężem swoim, czciogodna ta kobieta znalazła go dziwnie bladym, milczącym i nieruchomym.

„Zatrzymała na nim spojrzenie, pełen zdziwienia, prośby, miłości, lecz także gniewu i bólu zarazem.

Wówczas Rama otworzył przed nią serce i oznajmił, że wkradło się w nie zwątpienie. Sita przebywała pod dachem Rawany. Czy podobna, aby potwór zdołał uszanować nieziemską jej piękność?

„Na te słowa okrutne, na tę zniewagę publiczną, którą usłyszał cały lud zgromadony, Sita upada pod ciężarem wstydu. Zraniona ostrymi pociskami tych wyrazów, zalewa się potokiem łez. Otarłszy jednak twarz, wymawia wolno, drżącym głosem, co następuje:

— „Więc tak, chcesz mnie odepchnąć i oddać mię innym, jak bajaderę, mnie, która pochodzę ze szlachetnego rodu Indry i oddaną zostałam za małżonkę

potomkowi również znakomitej rodziny. Bohaterze, jak możesz zwracać się do mnie, niby do najpospolitszej małżonki z mową, tak okrutną dla uszu moich?... Jeżeli wypadło mi dotknąć ciała wroga twego, zawiniło tu tylko przeznaczenie!... Moje serce, jedyna rzecz, nad którą mam władzę bezpodzielną, nie przedstawiało nigdy być twojem tylko. — Jeżeli dusza moja, czysty mój charakter i wspólne życie nasze nie pozwoliły ci poznać mnie jeszcze, uważam to za nieszczęście, które zabija mię na wieki...”

„Sita łkała, mówiąc.

„Zapanowawszy jednak nad sobą, zwróciła się do Lakshmany:

— „Synu Sumitry, wzniesź stos; dotknięta niesprawiedliwie tyloma ciosami, nie mam już siły do dźwigania dalej życia; wzgardzona przez małżonka mego, w obecności tych tłumów skoczę w ogień; oto jedyna droga, którą zostaje mi pójść w tem życiu“.

„Na spojrzenie Ramy Lakshmana wznosi stos i podpala go.

„Królowa, okrążywszy Ramę, wyprostowana, z głową spuszczoną podchodzi do rozpalonego ognia. Złożywszy pokłon najpierw na cześć bogów, później na cześć braminów i złączywszy obie dłonie nad skrońmi swemi, bliska już stosu, zwróciła do boga Agni tę prośbę:

— „Że nigdy bądź publicznie, bądź potajemnie, słowem, czynem, myślą i ciałem nie zdradziłam wiary, winnej mężowi, zaświadczyć to, ogniu, świadku świata i osłoń mię ze wszystkich stron!...”

„To powiedziawszy, Sita, pragnąca jak najprędzej skoczyć w płomień, okrążyła ogień i rzuciła jeszcze te słowa:

— „Agni, ty, który krążysz w ciele wszystkich

istot, wybaw mię, o najcnotliwszy z bogów, ty, co tkwiąc w ciele mojem, jesteś jego świadkiem!...“

„Usłyszawszy te słowa, wszyscy małpi wodzowie wybuchnęli płaczem.

„Wówczas, oddawszy pokłon mężowi, Sita odważnie skoczyła w płomień. Tłum niezliczony, młodzieńcy, starcy, dzieci byli zgromadzeni w tem miejscu i widzieli, jak Sita, szlochając, padła na środek stosu. W chwili gdy już była w płomieniach, małpy i Rak-szarasy wydały okrzyk bólu, który niezwykłą wrzawą przeszył powietrze. Podobna do złota lśniącego, Sita w przybraniu ze szczerozłotych klejnotów rzuciła się w płomień, jak istota, składana na ogniu ofiarnym.

„Bogowie, Kuwera, Wama, cienie przodków, War-na, władca wód, błogosławiony Siwa o trzech oczach, Brama, twórca świata, wszyscy zbiegli się pod murami Lanki. Wówczas stwórca świata rzekł do Ramy, który stał przed nim ze złożonemi dłońmi:

— „Jak możesz patrzeć obojętnie na Sitę, która ciska się w ogień?“

Jednak płomień podniosły się, nie objawszy bo-haterskiej małżonki.

Nagle ujrzano boga Agni, jak podszedł do stosu, porwał Sitę w ramiona i złożył ją na łonie Ramy, czystą, podobną do dziecka Słońca.

I rzekł Agni do Ramy:

— „Oto małżonka twoja; nie masz w niej winy; przyjmij ją, gdyż jest bez plam... Ogień widzi wszystko, co jawne i co ukryte na świecie i ręczy za cześć jej...“

— „Wiedziałem — odparł Rama — że serce Sity nie zmieniło się, że była mi oddaną i że myśl jej nie przestała krążyć dokoła mnie, chciałem jednak,

aby nikt ze zgromadzonych nie mógł obciążyć jej podejrzeniem...”

*

*

*

W jakiś czas później Rama i słodka Sita w orszaku głównych dowódców wojska wstępowali do Ayo-dhyi w zwycięskim pochodzie.

Depcząc kwiaty pod stopami swemi, weszli na olbrzymie schody królewskiego pałacu, na którego stopniach tłum, zbity za plecami kapłanów, witał księżącą parę pełnymi zapału okrzykami.

Na progu Bharata oczekiwał ich, aby złożyć w ręce brata godła królewskie.

I oto ukazał się nareszcie w całej swej wspaniałości najstarszy syn Dasarathy, który był niczem więcej, jak tylko Narayana, bogiem potężnym. Zasiadł, złotem okryty, w sali o ścianach z kości słoniowej, pośród kolumn, inkrustowanych drogocennymi kamieniami, z rękami opartymi o lwy, przywiązane do tronu.

„... Podczas panowania jego, pełnego sprawiedliwości, wszystko tchnęło spokojem, utrzymywał w nim poddanych widok Ramy, niewolnika obowiązku; ludzie nie usiłowali szkodzić sobie wzajemnie“.

II.

Legenda o Kryszenie.

Okolo 3000 lat przed naszą erą, na początku wieku Kali-Yongi, istniało w Indyach wschodnich miasto potężne i niezrównanie piękne. Była to czarująca Mandura, o dziesięciu pałacach, dwunastu pagodach, stu złotych bramach z wieżycami po bokach, — gdzie panował król Kansa, monarcha o duszy przewrotnej i chciwej, opanowany całkowicie przez jedną ze swych żon. Nysumba miała nad nim władzę bezwzględną, nie tylko dzięki swej piękności — ponurej i dyszącej żądzą, jak czar nocy, — lecz także dzięki urokowi sztuk czarodziejskich, jakimi władała. Córka króla Kalayeni, maga, czciciela Kali, bogini żądzy i śmierci, który doszedł do skrytej władzy za pomocą mrocznych praktyk, — Nysumba przejęła od ojca tajemnicę zaklęć i uroków. Kansa drżał przed nią, miotany strachem i żądzą lubieżną.

Którejś nocy, nie mogąc zasnąć, przechadzał się we wzburzeniu wzdłuż pałacowego tarasu. Opanowany dziwnymi przeczuciami, spostrzegł nagle gwiazdę, spadającą z nieba Indry na ziemię.

I wydało mu się, iż gwiazda ta niesie tajemnicę jego przeznaczenia.

Wzruszony, udał się do Nysumby, by wyznaczyć jej obawy swoje.

Czarodziejka jednak nie umiała objaśnić dostatecznie spadnięcia gwiazdy.

Wówczas Kansa wezwał bramina purohite, kazał mu badać gwiazdy i powiedzieć całą prawdę.

Taką odpowiedź dał purohita:

— „O królu, wszystkie ludy dziś oddają się czci złego. Pycha, żądza złota, rozpusta, którą budzi zjadliwy dech Kali, bogini żądz i śmierci, zatręły wszystkie dusze. Jedna tylko tajemnicza prośba wzbija się z ziemi ku niebu i ta została wysłuchaną: gwiazda, która spadła w twoich oczach, to duch Wisznu, wcielający się w tej chwili w łono Dewanaki, córki twej siostry, Palwady. Z niej to narodzi się ten, który przyjdzie, by ukarać twoje występki i odrodzić ludzkość! —“

Oszalały ze złości, król skoczył do bramina.

Ten wszakże nie spuścił oczu, nie cofnął się ani o krok jeden.

— „Kazałeś mi powiedzieć prawdę, rzekłem ją, a ty nie zdołasz jej odmienić“. —

W tej chwili w bliskości pałacu rozległy się krzyki żalosalne ponurego ptaka, poświęconego Warunie.

Była to już druga z kolei groźna przepowiednia.

Kansa zadrżał na nowo; trwoga wzmogła jeszcze wściekłość jego.

— „A więc — krzyknął do purohity — niech i tak będzie, ale ty nie zdołasz przekonać się o prawdzie swych prorocत्व: nawet wszechpotęga Dewasów nie ustrzeże ciebie przed śmiercią...“

Straż uprowadziła Muni. Kansa zwrócił się do Nysumby, jak gdyby żądając jej przyzwolenia.

— „Słuchaj — rzekła — nie dosyć, aby bramin tylko zginął: ktoś inny musi umrzeć także....“

— Kto taki? — spytał król, a czoło jego zalało się potem i wszystkie członki drząc poczęły, zrozumiał bowiem skryte życzenie Nysumby.

— Ta, która ma wypiać wroga twego.

— Co? — Dewanaki! — córka mojej siostry!...

— Niech panuje zamiast mnie, lub niech zginie!
— zawołała Nysumba. — Ot cena, którą nakładam na miłość swoją!...

Dziki błysk zajaśniał w rozkazującym jej spojrzeniu, a twarz hebanowa, zalana purpurą krwi rozszalałej, stała się podobną do obłoku dymu pożarnego, przeszytego językami czerwonych płomieni.

Kansa opuścił głowę.

— A więc... zginie... odparł ponuro.

* * *

Słodka i promienna, jak kwiat lotosu, Dewanaki była dziewicą o sercu prostem i czystym. Uprzedzona potajemnie przez Wisznu, matka dała jej imię, które po sanskrycku znaczy: „Stworzona przez boga“ (Dewanaki).

Dzieciństwo jej upłynęło na przedzeniu i robieniu płótna; nigdy zwierzęce pożywienie nie dotknęło ust jej: ryż, miód i mleko stanowiły jedyny jej pokarm.

Tej samej nocy, kiedy Kansa napróżno buntował się przeciw objawieniu przeznaczenia swego, „w godzinie, w której święte słonie pagód wybijają na dźwięcznych gongach uderzenia, dzielące noc na poły“, młoda dziewczyna miała sen rozkoszny.

Zdawało się jej, że, powstawszy z łoża, poszła nad brzeg świętego stawu Meduwy dla spełnienia rytualnego obmycia.

A kiedy, pograżywszy się dwanaście razy w stawie ze słowami oczyszczenia na ustach, po których nastąpiło wezwanie Wisznu, wstała, by wracać do domu, uczuła dreszcz w sobie; cudny obłok świetlisty otoczył ją nagle.

Kropla krwi ociekła z dziewiczego jej łona.

„I natychmiast z ziemi, na którą kropla ta padła, wyrósł krzew winny, którego potężne gałęzie pokryły jednej chwili świat cały. Wszystkie ludy, zdumione, przyszły szukać tu cienia, a zło, nienawiść, gniew, praca i troska zniknęły ze świata; ludzie zaczęli żywić się tylko słodkim owocem tego drzewa olbrzymiego.

„Wówczas ponad naziemską wrzawą, która zdała się iść od strony morza, rozbrzmiał w przestrzeni głos wołający na cztery krańce globu, ze wschodu na zachód i z północy na południe: „Pokój ludziom, którzy kosztowali pokarmu niebieskiego; wszystkie błędy zostaną im darowane, wszystkie plamy będą oczyszczone, a oni sami zaznają błogosławieństwa nieśmiertelności“.

Obudziwszy się ze snu, Dewanaki ujrzała nad sobą straż króla Kansy, która ją porwała i zaniósła na wieżę, gdzie zamurowano drzwi, aby zapobiedz ucieczce.

Jakiż strach opanował jednak dozorców, czuwających u stóp wieży, gdy dostrzegli walące się nagle pod słupem ognia grube mury fortecy. Przez wyłom w nich wyszła dziewczica Dewanaki z więzienia i dotarła do murów miasta, a żołnierze, których członki sparaliżowała jakaś siła tajemna, nie byli w stanie wykonać jednego ruchu dla zatrzymania jej.

Prowadzona przez słup ognisty, dziewczica szła długo, długo.

Nakoniec dotarła do olbrzymiego lasu, zamieszkałego przez anachoretów. Jeden z nich czekał na

nią jakby nad brzegiem stawu, w którym poily się gazelle. Umieściwszy ją w łodzi, przeprowił się wraz z nią na brzeg przeciwny do króla anachoretów, Wasiszty.

Był to ogromny starzec z długą brodą i długimi włosami olśniewającej białości. Posty nadały cerze jego niezwykłą przejrzystość; rozmyślania, modlitwa i ekstaza napelniły wzrok jasnością niebiańską, w której odbijały się jakby wizye dalekie. Wszystko w nim budziło szacunek, postać jego bowiem była raczej boska niż ziemiska.

— „Chwała tobie, Dewanaki! — rzekł. — Bądź pozdrowiona, wśród świętych riszi, ty, która zostałaś wybrana dla dzieła oswożenia, ponieważ byłaś prostą sercem między pysznymi i okrutnymi... W twoje to łono wcielił się promień blasku boskiego, dech czysty, idący od wielkiej duszy wszechświata; w tobie przyjmie on kształty ludzkie, a życie oprze się śmierci... Niechaj drżą Yakszasy, Rakszasy i Nagasy, blizki bowiem dzień, w którym narodzi się ten, co położy koniec panowaniu ich na ziemi! — Przyjdzie w wieńcu światła, a wody Gangesu zadrżą od źródeł swoich aż do morza... Przyjdzie, a niebiosa i światy pograżą się w radości, zbledną gwiazdy przed blaskiem jego, a słońce uzna promienie swoje za zbyt słabe dla niego, a ziemia będzie zbyt ciasna dla obszaru jego spojrzeń, zbyt mała, by je objąć... Jest on bowiem Nieskończonością, Wszechwładzą, Mądrością, Pięknością, jest wszystkim we wszystkim... Przyjdzie, a wszystkie istoty żyjące, wszystkie kwiaty, rośliny, drzewa, ludzie, kobiety, dzieci, niewolnicy, zwierzęta zanucą śpiew radosny, jest on bowiem panem tego wszystkiego, co istnieje, jest panem wszechstworzenia... Przyjdzie, słodszy od miodu i amryty, czystszy od baranka bez

plam z ustami dziewicy, a wszystkie serca zostaną uniesione miłością...“*)

Poczem Wasiszta oddał Dewanaki pod opiekę pokutnicom, zamieszkującym sąsiednią pustelnię, ażeby wtajemniczyły ją w pobożne praktyki.

Kilka miesięcy przebywała wśród nich dziewica. Po skończonych modlitwach lubiła ona przechadzać się po lesie samotnie, pogrążając się w tajemnicach jego, nad słuchując głosów, które przemawiały do niej jakby. Zwolna, stopniowo przenikała ją nawskróś wielka dusza przyrody.

... Było w tem lesie drzewo olbrzymie, nazwane przez riszych „drzewem życia“. Dewanaki lubiła siadać pod cieniem jego. Wpadała wówczas w zachwyt nieziemski.

Pewnego dnia wydało się jej, że słyszy poprzez gęstwinę liści dźwięki harf niewidzialnych.

Jednocześnie niebo otworzyło się nad nią i oto z głębi świetlnych przepaści dostrzegła promiennego chwałą Mahadewę, Słońce słońc, wcielonego w kształty człowiecze. Szedł ku niej, pochylił się nad nią i przeszył ją promieniem życia. Dziewica uczuła dreszcz w całej swej istocie: poczęła syna bożego.

Tego wieczora Wasiszta i anachoreci przyszli złożyć jej pokłon.

— „Dziewico-matko, pozdrawiamy cię — rzekł Wasiszta. — Jesteś matką nas wszystkich, ponieważ z ciebie narodzi się ten, który odrodzi wszystkich... Nazwiesz go Kryszną (świętym), nie odkryjesz mu jednak ani swego, ani jego pochodzenia:

*) Wyjątek z Atarwy, (czwarta księga Wed. t. j. najstarszych ksiąg świętych indyjskich, zwanych także Brahma—Weda.

iechaj nie wie o niem. Woli Dewów stanie się tym sposobem zadość... Wielkie niebezpieczeństwo grozi ci jednak. Król Mandura, brat twój, udał się na poszukiwanie ciebie, nie cofając wyroku na zgubę twoją. Trzeba, abyś opuściła las ten, który już nie może zapewnić ci bezpiecznego schroniska. Idź więc za tymi, którym rozkazałem zaprowadzić cię do pasterzy na górze Meru. Tam oto wydasz na świat tego, którego łono twoje poczęło w boskiej miłości“.

* * *

... Po długich trudach Dewanaki dotarła do słodkiej doliny u stóp góry Meru.

Zamieszkiwał ją lud kapłanów, którymi rządził patriarchy Nanda. On to przyjął tułaczą matkę-dziewicę; pod jego duchem przyszedł na świat boski Kryszna, którego nazwano odrazu „promiennym“: taka słodycz i radość biła od niego, taki czar niezwykły, tajemniczy.

Nietylko pastuszkowie i pasterki, starcy i dzieci przybiegły, by go podziwiać, lecz nawet dzikie kozy kładły się do stóp jego, bawiąc się z nim posłusznie.

Zdawało się, iż cała przyroda wita nadejście jego, jako znak szczęścia.

Dewanaki wychowała pobożnie syna swego, starała się wyrobić w nim duszę bohaterską i świętą, aż któregoś dnia, uważając powołanie swoje za spełnione, zniknęła bez żalu, z podniosłą rezygnacją, by umrzeć w krainie nieznaney.

Kryszna był niepokieszony po ucieczce matki.

Nawoływał ją na wszystkie strony, uwielbiał bowiem tę kobietę, tak piękną, tak słodką i tkliwą, która go nauczyła tylu podniosłych rzeczy.

Pewnego dnia ukazał mu się król anachoretów,

Wasiszta, który miał moc cielesnego objawiania się na pewnej odległości.

Zjawisko w te słowa odezwało się do niego:

— „Matka twoja przedsięwzięła długą podróż. Udała się do tego, który nigdy nie umiera. Jego to musisz odszukać, jeżeli ją chcesz znaleźć“,

— A w jaki sposób trafię do niego?

— Szukaj, ciągle szukaj, a znajdziesz...

Kryszna miał wtedy lat piętnaście i był już silny, zręczny w naciąganiu łuku i cięciach szabli; nie znał obawy.

Pociągnął więc za sobą synów pastuszych i przeszedł lasy nieprzebyte.

Walczył z potworami, zabił niebezpiecznego węża, którego król Kalayeni, czarodziej, podbudził przeciwko niemu, oswobodził narody, uciśnione przez tyranów, spełnił niezliczoną moc innych czynów i dotarł tak do brzegów Gangesa, nie odnalazłszy tej, której szukał.

Wówczas pograżył się w modlitwach, oczyścił się w rzece świętej; dusza jego w wibracyi światła słonecznego złączyła się na długo z Mahadewą, duchem wszechświata.

Śnił tutaj sny cudowne; rytmiczne fale rzeki, tworzącej w tem miejscu wodospad pod nazwą „Kędziorów Siwy“, wtajemniczyły go w muzykę świętą.

Gdy wrócił do rodzinnego swego kraju i otoczyły go na powitanie pasterze i pasterki z góry Meru, Kryszna zaczął im opowiadać o nieziemskich swych uniesieniach, powtarzać boskie melodye, które słyszał. Wszyscy wtedy wpadli w zachwyty.

Którejś nocy jesiennej, tchnącej wonią jaśminów, Kryszna siadł pod wielkim cedrem, przez którego liście księżyc przesiewał łagodne swe światło, niosące jakby odbłask oblicza Brahmy. W wieczornem sku-

pieniu myśl jego biegła, przenikając nieskończoność, a głos podnosił się słodki i czysty, by opiewać cuda widziane. Oczarowane nieprzezwyrodnym urokiem tych melodji, „gopidy“, córki i żony pasterzy powychodziły z mieszkań swoich w ukryciu jedna przed drugą... Były tak wzruszone, że to dodało im odwagi, by przystąpić wprost do niego. Ujrawszy je jednak, Kryszna powiedział im:

— „Wróćcie do zagród waszych. Nie przystoi kobietom pozostawać tutaj. Matki, ojcowie, synowie, bracia, małżonkowie szukają was; nie niepokóście ich.

— „Widziałyście las kwiecisty, rozsrebrzony promieniami pełni księżyca, ozdobiony młodymi pędami drzew, drżących pod pieśczośliwym tchnieniem mgieł z nad Yamuny. Wróćcie do zagród waszych bezzwłocznie... Cielęta i dzieci już wydają krzyki żałosne; napóście je i uciszcie... Przez miłość dla mnie przyszłyście tutaj: to dobrze... Wszystko, co żyje, znajduje we mnie szczęście... Najwyższym obowiązkiem kobiety jednak jest posłuszeństwo dla mężów swoich i przygotowywanie, pożywienia dla dzieci, dla rodziny całej... Miłość dla mnie objawia się w słuchaniu mnie, w myśli o mnie, w sławieniu imienia mego...“

I oto wpadły kobiety w smutek głęboki... „polały się łzy, zabarwione podmalowaniem oczów, na łono, błyszczące szafranem.“ Otarłszy powieki, odpowiedziały wreszcie:

— „Nie! — pozwól nam posłuchać jeszcze, śpiew, twój bowiem wprawia nas w zachwyty. Pozwól nam zostać, bo kochamy ciebie.

— „Mówisz o obowiązku kobiet? — Względem kogo winnyśmy go mieć najwięcej, jeżeli nie względem ciebie, który jesteś celem nauk i naszym panem najwyższym? — Tak, tyś kochankiem, ojcem, tyś du-

szą istot żyjących... Bądź litościwy dla nas, panie najwyższy! — Nie zawieź nadziei, jakie pokładamy w tobie, Boże o oczach lotosu! — Tyś odwrócił myśli nasze od domów naszych i ręce od robót domowych, w których niegdyś miały upodobanie... Och! w morzu ambrozji ust twoich zagaśł ogień miłości, który rozpały w nas twoje oczy, uśmiechnięte i harmonia twoich pieśni!... o perło ludzi, pozwól nam zostać niewolnicami twemi. — Połóż rękę twoją, podobną do lotosu, ty, przyjacielu smutnych, na naszych pierśiach rozpalonych i na głowach naszych, — głowach sług twoich...“

Kryszna uśmiechnął się wówczas i rzekł:

— „Zostańcie więc oto przy mnie i siadźcie na murawie. Pytajcie, a opowiem wam, czego nauczyła mię matka w dzieciństwie mojem i co widziałem w snach swoich“.

Jedna z nich spytała:

— „O, boski pasterzu! — są, które lubią i które nie lubią być kochane; są, które, kochane lub nie, same nie kochają nigdy! Zechciej nam wytłomaczyć, dlaczego tak jest? —“

I Kryszna odparł:

— „Te, które lubią być kochane, o, przyjaciółki! — nie mają na względzie nic, prócz własnego interesu: niema tam ani przywiązania, ani obowiązku; jest tylko samolubstwo.

„Tam, gdzie miłość nie ma wzajemności, a tak bywa z rodzicami, ze wszystkimi tymi, co współczują innym, — tam króluje tylko obowiązek najwyższy i czyste oddanie...“

„Są, którzy nie lubią tych, co ich kochają, a jeszcze mniej tych, co ich nie kochają. To ludzie, którzy znajdują szczęście w sobie samych tylko, lub

których życzenia zostały już zaspokojone: niewdzięcznicy...

„Co do mnie, o przyjaciółki moje, jeżeli nie kocham wszystkich istot, które mnie kochają, to tylko dlatego, aby oddały się pobożności...“

W taki sposób trwały dalej rozmowy Krysny z niewiastami. O zorzy wschodzącej wróciły one z żalem do domów swoich, wzruszone, z sercami nim przepelnionymi.

Kilkakrotnie powtórzyły się jeszcze te nauki, gdyż córki i żony pasterzy, coraz bardziej podniecone, wracały wciąż, by upić się boskimi słowami. Wtedy to podczas tych nocy wonnych nauczył syn Dewanaki kobiety sztuki śpiewu i tańca, który miał wyobrażać podniosłe czyny bohaterów lub złudne marzenia czarodziejki Mai. I gdy jedne z nich trącały o wibrujące struny win lub biły w dźwięczne cymbały, inne z gestem rytmicznym rozwijały szaty swoje, poślótkę od szafranu na piersiach, a Krysna zwracał się do duszy przyrody, pełnej miłości, wzywając ją. Święte natchnienie spływało z gwiazd blaskiem niezemskim, w którym boską jasnością płonęły chóry tancerek.

... Pewnej nocy jednak nie ujrzały już „gopidy“ Krysny na zwykłym miejscu pośród drzew cedrowych. Oszalałe bólem, rozbiegły się po całej dolinie, szukając i wzywając ukochanego.

... Boski pasterz, śpiewak natchniony, podążył w góry, gdzie miał spędzać samotnie lat siedem na rozmyślaniach i modlitwie, aby wchłonąć w siebie więcej jeszcze światła Mahadewy, słońca słońc.

* * *

Krysna przebywał wciąż jeszcze na górze Meru, usiłując oczyścić jak najzupełniej ziemską swą istotę,

by tem dokładniej mózdz wnikać w objawienie boskie, gdy ujrzał nadchodzącą ku sobie bardzo liczną gromadę anachoretów, w których świętym lesie matka jego znalazła schronienie przed wydaniem go na świat.

— „Wskaż nam prawdę, zostań mistrzem naszym — rzekli — święty starzec, Wasiszta, ojciec nasz, padł bowiem z ręki występnej..“

Była to ręka podłego i okrutnego Kansy.

Od chwili proroctwa bramina i ucieczki Dewanaki nie przestał on drzeć ze strachu w głębiach pałacu swego.

Zawiadomiony o przyjsciu na świat Kryszny, nakazał w całym państwie swoim rzeź dzieci płci męskiej, zrodzonych w nocy, która dała życie Krysznie. Żołnierze więc przybiegli do pasterskiej osady, którą rządził patryarcha Nanda, ażeby spełnić barbarzyński rozkaz; zaledwie jednak dano zwiastujące ich hasło, gdy stał się cud: dziecię przy piersi urosło nagle; wyskoczył silny chłopiec dziesięcioletni, który zaczął się bawić z owcami i kozami.

Mordercy, nasłani przez Kanse, przeszli koło niego, nie domyślając się, że jego to właśnie miał doścignąć gniew króla.

Straciwszy nadzieję zgładzenia tego, którego bronili Dewowie, król Mandury, zwrócił całą złość swoją przeciwko anachoretom, postanawiając zemścić się na nich za to, że przygarnęli do siebie Dewanaki. Wojsko zniszczyło święte ustronia pobożnych riszich; kilku z pomiędzy nich padło pod strzałami prześladowców. Wasiszte zabił pocisk najpierwszy. Umierając, zalecił braciom swoim, by udali się do Kryszny, który był wybrańcem boga i zostanie zbawcą świata.

Kryszna, który uczuł się już był wtedy w pełnem posiadaniu boskiej wiedzy, zdobytej dzięki rozmyśla-

niom i surowym regułom, zgodził się zostać następcą wielkiego starca, by wtajemniczać duszę w prawdę czystą.

Zeszedłszy wraz z posłami z góry Meru, pociągnął ich za sobą przez wsie i miasta nad brzegi Dyamuny i Gangesu.

Oczarowani słodką jego mową, nowi uczniowie zgromadzili się dokoła niego szybko. Jednym z pierwszych, który postanowił towarzyszyć mu wszędzie, rzucając wszystko dla niego, był Ardżuna, potomek królów słońca, których stracili z tronu królowie księżycy, panujący w danej chwili.

Przybiegły także i kobiety, z pośród których dwie córki patryarchy Nandy, Sarasvati i Niehdali, poprzyścięły nie opuścić go nigdy.

Gromada uczniów wchodziła do najnędzniejszych chat lub zatrzymywała się wieczorem przed wejściem do wsi, a natychmiast otaczał ich tłum ludzi, żądnych posłuchania boskich nauk.

Kryszna mówił o nieśmiertelności duszy i jej kolejnych wędrówkach po wyjściu z ciała, względnie do położonych zasług. Głosił miłość bliźniego, miłosierdzie, godność własną i uprawianie dobra dla dobra samego. Uzdrowiał chorych, pocieszał słabych, podtrzymywał nieszczęśliwych i uciśnionych nadzieją sprawiedliwości najwyższej; zakazywał jednak nienawiści i zalecał płacenie dobrem za złe.

Wprawiał w zachwyt mową swoją; zdawało się ludziom, że słyszą objawienie boskie.

Kansa jednak, wiedząc, że Kryszna żyje, drżał wciąż w głębi pysznej swej stolicy, Mandury.

Kiedy dano mu znać o kazaniach jego nad brzegiem Gangesu, posłał przeciw niemu tak liczną armię, że uczniowie proroka błagali go, by uciekł.

Kryszna wszakże ganił ich trwogę i usiłował dać im otuchy.

— „Skąd taki strach bezmyślny? — rzekł. — Czyż nie znacie tego, który jest z wami?“

I nagle, zrzuciwszy z siebie śmiertelną swą powłokę, objawił im się w całej swej boskiej okazałości, świetny, niewypowiedzianie czystym blaskiem promieniający.

Olśnieni i zawstydzeni, uczniowie padli twarzą na ziemię.

— Panie, przebacz nam słabość naszą.

— Wiedźcie — dodał Kryszna, — że, obecny lub daleki, będę zawsze z wami, by osłaniać was.

... Gdy nadbiegli żołnierze, nie bronili się zupełnie i kazał im podejść do siebie tuż blisko:

— „Wiem — rzekł — iż przychodzicie mnie uwięzić. Zaprowadźcie mię więc do króla waszego, przedtem jednak pozwólcie, bym opowiedział wam o innym królu, stokroć potężniejszym od tamtego, królu niebieskim“.

I oto zaczął mówić o dobroci i wspaniałości Mahadewy. A żołnierze Kansy, wzruszeni tem objawieniem, zapomnieli, w jakim celu przyszlizli.

Gdy Kryszna skończył mówić, rzucili broń.

— „Nie! — zawołali — nie uprowadzimy stąd ciebie jako więźnia, lecz zostaniemy z tobą, by cię bronić“.

Dowiedziawszy się o tem, król Mandury został zdjęty wielkim strachem.

— „Przepowiednia sprawdza się — szepnął. — Jestem bezsilny wobec syna Dewanaki...“

— Czyż nie możesz użyć podstępu? — wtrąciła wykrętna Nysumba.

I doradziła królowi, aby wciągnął proroka w za-

sadzkę, urządzając umyślnie w tym celu wielką uroczystość na cześć Siwy w Mandurze.

Kryszna, istotnie, przybył do stolicy. Na czele uczniów swoich, anachoretów i kobiet, wstąpił w bramy miasta, przybranego różnobarwnymi proporcami, witany deszczem kwiatów i okrzykami tłumów, bijących mu pokłon. Do orszaku należeli nawet i bramini.

Doszedł tak aż do teatru, gdzie oczekiwał go król.

Przed bramą gmachu jednak chytry Kansa kazał postawić olbrzymiego i niebezpiecznego słonia, którego żołnierze mieli wypuścić na proroka.

Kryszna zdawał się przybliżać bez niedowierzania; przeczuł jednak zamiary króla. Pierwsza napaść słonia rozbudziła w nim bohatera, którego młodość obfitowała w bezmiar wielkich czynów. Chwilę tylko trwał przestraszony w tłumie. Szmer popłochu zmienił się wkrótce w okrzyk zwycięstwa.

Kryszna zabił potwora, który miał go zmiażdżyć.

Zachwyty i radość tłumów, a także klątwy jego na podłego Kansę nie ustawały, gdy Ardżuna z szablą w ręku skoczył do loży królewskiej, by ściąć szyję tyrana.

I oto zapanowała znowu dynastia królów Słońca.

* * *

Kryszna, istotnie, kazał obwołać ucznia swego królem Mandury, poddając go zresztą władzy braminów. Dla siebie nie żądał nic więcej nad tytuł głowy anachoretów, wyznaczonych jako rada najwyższa przy braminach. Pragnąc uchronić tych ostatnich od przesładowania, kazał wznieść dla nich nad brzegiem morza miasto, jeszcze stokroć piękniejsze od Mandury. Otoczyły je wysokie szczyty z szerokimi żółtymi bramami, podobnymi do ozłoconych słońcem obłoków. Pełne

sadzawek z wodą przezroczystą, pełne rozkosznych ogrodów, miasto to przypominało kobietę o długich oczach, której członki uginały się pod ciężarem ozdób... Otrzymało ono nazwę „Dwareki“;

Sam prorok wkrótce jednak musiał szukać schronienia w tej fortecy, królowie, oddani czci księżycy, bowiem połączyli się, by odzyskać tron. Walka była długa i zaciekła, skończyła się wszakże zwycięstwem Ardżuny, którego waleczność podtrzymywał mistrz boski.

Wówczas Kryszna uznał, że powołanie jego zostało spełnione. Nauczał wszędzie prawdy i przyczynił się do zwycięstwa sprawiedliwości: mógł więc już umrzeć.

Pewnego dnia, modląc się w jednym z lasów cedrowych, otaczających Dwarekę, spostrzegł podchodzącą ku niemu grupę wrogich łuczników pod dowództwem Angady. Mimo to nie przerwał świętych rozmyślań. Korzystając z tej jego nieruchomości, Angada nakazał żołnierzom swoim rzucić się na niego i przywiązać go do pnia cedru. Następnie, schwyciwszy łuk i strzały, wycelował sam w Krysznę. Zraniony trzykrotnie, męczennik, podniósłszy oczy ku niebu, zawołał tylko: „Matko moja! — Mahadewo!“ — i wyzionął ducha.

Wtedy jednak zerwał się wiatr gwałtowny i powywracał drzewa cedrowe, przywalając niemi łuczników, a słońce zaszło nagle za wierzchołki gór.

Strach zmroził Angadę wobec trupa Kryszny. Stał nad nim z błędnymi oczyma, które wyszły z orbit. I zdawało mu się, że słyży głos:

— „Odpokutujesz występki swój życiem wiecznym. Aż do końca świata będziesz błędził nad brzegami Gangesu, a jedynym pożywieniem twojem będą trupy zmarłych, o które wypadnie ci toczyć walkę z szakalami i innym zwierzem nieczystym“.

Ciało Kryszny zostało zabrane przez uczniów i spalone w mieście Dwareka. Kilka z pomiędzy osób, które szły z nim przez życie, postanowiły towarzyszyć mu również i po śmierci. Saraswati i Nichdali, które przysięgły nie opuszczać go nigdy, skoczyły na stos wraz z innymi kobietami.

Ponad dymem pożarnym ujrzał nagle tłum rozwiewne, białe, świetliste zjawiska.

Była to promienna postać syna Mahadewy, który śpieszył połączyć się ze Słońcem słońce, uprowadzając wraz z sobą ukochanych uczniów swoich i mistyczne swe oblubienice.

III.

Podanie o Prometeuszu.

Japet, syn nieba i ziemi, protoplasta wielkiej rodziny, która zaludniła Azyę Mniejszą i Grecyę, pojął za żonę Klimenę, oceanidę „o stopach uroczych“, z którą miał czterech synów: Atlasa, Prometeusza, Epimeteusza i Meneciosa. Nie byli oni bogami, lecz siłą i wiedzą mogli współzawodniczyć z nimi: nazwano ich tytanami.

Zeus zwyciężył ich jednak, gdy podnieśli bunt. Menocios został pogrążony w cieniach Erebu; Atlasowi kazano podtrzymywać niebo na krańcach ziemi; Prometeuszowi tylko udało się w obecności Hesperyd zawrzeć pokój bez osiągnięcia kary.

Zwierzchnik Olimpu zauważył, iż tytan ten był dobrym doradcą, co zresztą zwiastowało imię jego, (*προμηθεύς* oznaczające tego, co przewiduje i zastanawia się), Zeus zatem zostawił go przy sobie, by korzystać ze wskazówek jego, których jednak nie zawsze słuchał. Prometeusz był przyjacielem ludzi, a Zeus pogardzał nimi. Próżno tytan usiłował wyjednać dla

nich trochę litości: bóg piorunowy pozostał nietylko głuchy na jego prośby, lecz nawet miłość Prometeusza dla rasy ludzkiej zniewoliła go do zuchwałego kroku.

Jednym z darów, jakimi Prometeusz chciał obdarzyć człowieka, tym, który wydał mu się najpożyteczniejszym, był ogień. Bez niego, istotnie, mieszkańcy ziemi byli skazani na życie brutalne, niemal zwierzęce. W ciemnych swych pieczarach nie mogli żywić się niczem innym, jak tylko mięsem i surowymi korzeniami; dla obrony przed dzikimi zwierzętami lub dla zabijania stworzeń, któremi się żywili, nie mogli wykuwać sobie metalowego oręża, lecz musieli walczyć maczugami lub kamieniami, ociosywanymi z trudnością. Nie byli w stanie również zdobyć się na narzędzia, konieczne dla kopania ziemi. Zimą, odrętwiali z mrozu i mroku, zapadali w stan oglupienia i nieświadomości. Przynieść ludziom ciepło, światło i ogień znaczyło to samo, co rzucić pomiędzy nich pierwsze zarzewie oświaty. Ponieważ Zeus odmawiał im tego dobra nieodzownego, Prometeusz postanowił użyć na ich korzyść podstęp. Ukradł więc z Olimpu trochę ognia, ukrył go w łoczydle — rodzaju rośliny, której wysoka, cylindryczna i pełna rdzenia łodyga pozwalała na długie przechowanie iskierki, — i wszedł między ludzi z drogocennym tym łupem.

* * *

Spostrzegłszy podstęp, najwyższy władca bogów wpadł w gniew wielki i zaczął obmyślać zemstę okrutną zarówno przeciw Prometeuszowi, jako też i przeciw całemu rodzajowi ludzkiemu.

Co się tyczy tego ostatniego, pierwszą myślą Zeusa było zniweczenie go za pomocą jednego piorunowego grotu; wkrótce jednak doszedł do wniosku,

że był to środek zbyt prosty i zbyt doraźny, kara, wywołująca zbyt szybką pokutę. Po pewnem zastanowieniu się obmyślił kaźń, stokroć bardziej wyszukaną, kaźń, której nigdy nie miało być końca.

Idąc za przykładem chytrego Prometeusza, sam postanowił również użyć podstępu.

Przywołał więc do siebie Wulkana i kazał mu ulepić z gliny posąg kobiety.

Gdy praca już była gotowa, tchnął w nią życie i przedstawił Olimpowi nowy swój twór, prosząc bogów i boginie o dary dla niego. Wenus dała mu piękność; Pallas nauczyła go mądrości; Apollon gry na lirze; Hermes odsłonił tajemnicę słodkiej, zradzieckiej mowy; Gracye wskazały, jak strojem podnosić najbardziej upragnione wdzięki.

Pandorę nazwano tę, na którą zlano wszystkie te dobrodziejstwa. (Παν — wszystko; δειοπονθων). Dla dopełnienia miary Zeus obdarzył ją jeszcze tajemniczą puszką, zapowiadając, by nie otwierała jej nigdy, z góry jednak był pewien wręcz przeciwnego skutku swego zlecenia.

Prometeusz miał brata, różniącego się najzupełniej usposobieniem od niego. O ile on sam był mądrością, rozwagą i przewidywaniem w najczystszej ich formie, o tyle Epimeteusz uosabiał sobą szczyt roztrzepania i nieoględności. (Επιμηθεύς znaczy ten, który zastanawia się dopiero po wydarzeniu, nieprzewidujący, oddany zbyt późno rozwadze). Takiej właśnie istoty potrzebował Zeus, by zapewnić powodzenie chytrze obmyślonemu podstępowi swemu. Posłał więc Pandorę do Epimeteusza. Próżno Prometeusz doradzał bratu, by nie przyjął daru tego. Epimeteusz nie usłuchał. Pandora zbyt była urocza; młodzieniec wpadł w uwielbienie i zachwył przed cudnym tym tworem, który obu-

dził zresztą cześć wszystkim. Zdawało się, że ziemia jest inną, gdy zstąpiło na nią to objawienie piękna i światła.

Co za krótkotrwała radość jednak niestety! —

Pewnego dnia — tego właśnie, który na chytrą swą zemstę wyznaczył pan Olimpu — Pandora doznała silniejszej, aniżeli kiedykolwiek żądzę otworzenia tajemniczej puszkę, którą zabrała z Olimpu. — „Co też może mieścić się w niej?“ — pytała bez końca. — Czy nie skryta rada, w jaki sposób stać się jeszcze piękniejszą i budzić coraz większy zachwyt?“ —

Podniosła wieko.

Och! co za straszne rozczarowanie! — Och! — jaki okrutny podstęp Zeusa! — Wśród czerniejących oparów, z piekielnym hałasem, niby rozszalałe furye, wyrwały się z puszkę chmary udręczeń, trapiących po dziś dzień ludzkość, a więc: troska, grzech, wojna choroby.

Przerażona Pandora zatrzasnęła puszkę, wypróżnioną już zresztą całkowicie, na dnie jej bowiem pozostała tylko nadzieja...

Ponad czarnemi obłokami w górze, na Olimpie, rozległ się potężny śmiech Zeusa, rozradowanego złościwą swą zemstą.

Zaspokoiwszy żądzę jej co do ludzi, pomyślał z kolei o ukaraniu opiekuna ich, Prometeusza.

Znowu został wezwany Wulkan, któremu dano rozkaz ukucia olbrzymich łańcuchów, jakimi miano przywiązać Tytana do skały na szczycie jednej z gór między Europą a Azyą:

Władzy i Sile, bóstwom nie znającym litości, polecono czuwać nad dopełnieniem kary. Wulkan, mimo uczucia ohydy, musiał słuchać. Gdy ponura jego czynność dobiegła do końca i żelazne ogniwa opasały ręce

i stopy przykutego do skały Tytana, Zeus zesłał orła swego, by gryzł wiecznie serce skazańca.

... Trzydzieści pokoleń minęło, gdy jeden z synów Zeusa, niezwyciężony Herkules, obruszył się na niesprawiedliwość ojca swego i, dotarwszy do gór Kaukaskich, zerwał więzy niewolnika.

* * *

Oto legenda, którą opowiedzieliśmy raczej według Teogonii Hezyoda, aniżeli według trylogii Eschylosa: „Prometeusz, ognionośca, Prometeusz w okowach, Prometeusz rozpętany“, to jednak wyznać trzeba, iż nieśmiertelność swoją zawdzięcza podanie powyższe tylko dramatowi. Jakże żałować należy, iż wskutek zaginięcia pierwszych dwóch jego części, zawartość ich opierać musimy na prostych domysłach jedynie!

Rozbiór Prometeusza uwięzionego, jedynej z trzech tragedyi, która pozostała w całości, narzuca nam się z natury rzeczy bezwzględnie dla uzupełnienia opowiadania naszego.

Rzecz dzieje się na pograniczu Europy i Azji. Wulkan pod strażą Władzy i Siły przybywa na górę, by spełnić barbarzyński wyrok mściwego Zeusa. Niektórzy komentatorowie twierdzą, iż górą tą jest szczyt Kaukazu; inni, przeciwnie, szukają jej znacznie dalej, nie wskazując jednak dokładnie miejsca.

Zostawmy na boku przypuszczenia i wróćmy do dramatu. Pierwsza jego scena przedstawia nam Prometeusza, miotającego się pod ciężarem okowów, które właśnie przymocował Wulkan. Wobec katów swoich nie wyrzuca on z siebie ani jednej skargi, a to milczenie już samo przez się nadaje skazańcowi przejmującą wielkość. Wkrótce przybywają nimfy Oceanidy, usiłujące

go pocieszyć. Stary Ocean, ojciec ich, nadchodzi również, radząc Prometeuszowi ukorzenie się przed Zeusem i obiecując przemówić za nim w razie przyjęcia tego warunku. Tytan jednak buntuje się i ojciec Oceanid odchodzi, nie wyjednawszy aktu pokory.

Po nim zjawia się Jo, córka Inachusa i tak samo, jak Prometeusz, ofiara najwyższego z bogów, który za to, że wzgardziła miłością jego, zesłał na nią przez zemstę wściekłego baka.

Bak ten kłuje ją żądłem swoim wciąż i zmusza do przebiegania ziemi z miejsca na miejsce, bez chwili wypoczynku. — Prometeusz, mimo męczarni swoich, usiłuje pocieszyć nieszczęsną dziewczycę, wieczystą wygnankę. Przepowiada jej nawet los przyszły. Gdy przybędzie do Egiptu, zostanie małżonką Zeusa i wyda na świat Epafosa, a w trzeciem pokoleniu, które wyda ten związek, urodzi się bohater, pogromca Zeusa i zbawca ludzkości. Jak Saturn padł pod klątwą ojca swego, Uranosa, tak samo Zeus, syn Saturna, uczuje na sobie klątwę ojca swego, którego wygnał z niebios.

— „Żaden z bogów — twierdzi Prometeusz — nie będzie w stanie podać mu środka odwrócenia tych nieszczęść; ja sam tylko mógłbym go wskazać; niech siedzi jednak tymczasem bezpiecznie, zasłaniając się hukami gromów, toczących się w przestrzeni z hałasem, niech miota groty płomieniste. Czczy to pozór, który nie uchroni go od sromotnego, niepowetowanego upadku! — Groźnym będzie przeciwnik, którego w tej chwili gotuje sam sobie!... Olbrzym nieposkromiony, znajdzie ogień stokroć potężniejszy od iskry piorunowej i huk, stokroć donioślejszy od huku grzmotów...”

Zaledwie skończył swe bluźnierstwa, gdy ukazał się Hermes, służący poseł Olimpu.

— „Wytłomacz słowa swoje — rzecze. — Żąda

tego mój ojciec. Co to za związek, którym mu grozisz, a który ma stracić go z tronu?“ —

— „Władcy nowi, państwo wasze od wczoraj za-
ledwie, a wyobrażacie sobie, iż ból nie postanie w pa-
łacach waszych nigdy. Czyż nie widziałem, jak wy-
pędzono już stamtąd dwóch królów? — (najpierw
Uranosa a później Saturna?) — Ten trzeci, który dziś
rozkazuje.h.h. tak, ujrzę z pewnością także i jego upa-
dek sromotny... Wróc tą samą drogą, którą przy-
szedłeś do mnie: nie dowiesz się nic więcej; nie pytaj
bezpotrzebnie... Nic nie zdoła mnie zmusić, bym
nazwał tego, co obali najwyższą potęgę Zeusa“.

Odtracony Hermes zwiastuje Premeteuszowi wów-
czas wzmocnienie kary.

— „Grzmot i piorun pałacy już są gotowe; ojciec
mój rozbije na drzazgi te strome wierzchołki, a ciało
twoje zniknie pod rumowiskiem kamieni. Dużo czasu
upłynie, zanim wyjrzysz na światło dzienne. Lecz
skrzydlaty pies Zeusa, orzeł krwiożerczy, wyrwie wów-
czas bez litości olbrzymi szmat twego ciała: biesiadnik
nieproszony karmić się będzie cały dzień wątroba
twoją, tem czarnem, krwawem daniem uczt. A nie
sądz, by kiedykolwiek nastąpił koniec tej męki, chyba
że który z bogów zechce dobrowolnie przejąć na siebie
cierpienia twoje, zstępując w mroczną siedzibę Plu-
tona i nad ciemne brzegi otchłani Tartaru“.

Próżno chór, przerażony, błaga Tytana, by usta-
pił: bojąc się być świadkiem spełnienia gróźb Zeusa,
odchodzi wraz z Hermesem.

Groźby te urzeczywistniły się istotnie.

Drży ziemia; odgłos grzmotu huczy w jej łonie;
spadają z łańcuchów wszystkie wichry; nacierają na
siebie w głuchej walce wszystkie sprzeczne podmuchy;
powietrze i morze zlewają się w jedno, a nad tem

wszystkiem słuchać tylko dumny i szczery głos mę-
czennika :

— „O matko moja, dostojna boskości! i ty, Eterze,
który zalewasz świat potokiem blasku — wszak wi-
dzicie niezasłużone me męczeństwo!“

* * *

— „Eschylos — mówi Juliusz Michelet — wy-
nalazł dwie rzeczy, mianowicie: imię matki Tytana,
uważanego przedtem niesłusznie za syna niejakiej Kli-
meny, gdy tymczasem Prometeusz zawdzięczał przyj-
ście swe na świat Sprawiedliwości, starożytnej Temi-
dzie, która patrzyła na narodziny wszystkich bogów.
Drugą rzeczą, prawdziwie boską, której nie podejrzywał
ani Hezyod, ani nikt inny, był istotny powód zguby
Prometeusza. W Hezyodzie dobrodziejstwo Tytana jest
raczej figlem złośliwości; chce on podstawić nogę Jo-
wiszowi; u Eschylosa zaś ukazuje się jako pełen współ-
czucia dla nędzy ludzkiej. Litość nadaje mu cechę
boskości, czyni go bogiem ponad bogami.

Litość! Sprawiedliwość! — Dwie wszechpotężne
dźwignie, którym stara baśń zawdzięczała niepojętą
siłę. Na krzyk Prometeusza: „O Sprawiedliwości, mat-
ko moja! — Widzisz, jak każą mi cierpieć! — trzy-
dzieści tysięcy widzów uczuwało na sobie więzy, sto-
kroć dotkliwsze od tych, które przykuwały Tytana do
wierzchołków Kaukazu.

„Czyjegoż serca nie przeszył nawskroś głos jego
głęboki i gorzkie słowa: „Miałem litość! — Więc
dlatego nikt teraz nade mną nie ma litości! —“

Prócz Michelet'a, znalazło się wielu innych, nie-
stety, często nieco naiwnych komentatorów, którzy,
przypisując Eschylosowi w prorocत्वach, kładzionych
w usta Prometeusza, przepowiednie różnych później-

szych przewrotów społecznych, zachodzili w przypuszczeniach swych zbyt daleko.

*

*

*

Stary myt grecki obfituje w takie bogactwo wątków filozoficznych, że niepodobna, aby poza arcydziełem Eschylosa nie pojawiły się prace innych filozofów, skuszonych żądzą przedstawienia walki dobroczyńcy ludzkości z władcą bogów.

Brak miejsca nie pozwala nam streścić tutaj potężnej i olbrzymiej tragedyi Shelley'a p. t. „Prometeusz wyzwolony“, ożywionej tchnieniem panteizmu i przepełnionej urokiem olśniewającej poezyi.

Również przelotnie tylko wspomnieć możemy o filozoficznej trylogii wierszem p. t. „Prometeusz“ przez Ed. Quinet'a, który przedstawia ludzkość, dążącą do postępu i zwiastuje nadejście chrześcijanizmu.

...Legenda zawiera, istotnie, mnóstwo symboli, a jeden z nich występuje szczególniej wyraźniej, mianowicie ten, który wskazuje tragiczny los wszystkich dobroczyńców ludzkości.

W dziejach każdego wieku powtarza się męczeństwo geniuszów, na wzór Tytana przykutych do skały. Wszyscy wielcy wynalazcy praw bądź moralnych, bądź fizycznych, wszyscy ci, którzy objawili światu nową jakąś religię, filozofię lub naukę, ci, co, jednym słowem, szli naprzód z pochodnią oświaty, tworzą długą listę ofiar. Wobec starej, a jednak zawsze jeszcze na czasie będącej i zawsze pełnej potężnych przenośni legendy o Prometeuszu, niepodobna nie pomyśleć, że istnieje jakieś bóstwo okrutne, które skazawszy ludzkość na wszelkie możliwe cierpienia zrodzone z niewiedzy, zazdrości człowiekowi zwycięstw jego w dziedzinie wyzwolicielki prawdy, której zdobycie uczyniłoby go równym jemu.

IV.

Bajka o Psyche.

Była raz córka króla, tak cudownie piękna, że wpadano przed nią w zachwyty.

Porównywano ją do Wenus, uważając, że była nie mniej promienną, a ponieważ zdawało się niepodobieństwem przypuszczać, aby podobna piękność mogła być udziałem istoty ludzkiej, — wzniesiono księżniczce świątynię, niby jakiemu bóstwu.

Starsze jej siostry, brzydkie bardzo, schły ze złości.

Zazdrość ich jednak nie była niczem w porównaniu z zazdrością Wenus, która postanowiła szukać zemsty.

Pewnego dnia zwierzyła się z gniewu swego Erosowi.

— Jeżeli jesteś naprawdę synem moim, zadrżysz ze zgrozy wobec zniewagi, jaka mię spotkała. Śmiertelni śmia twierdzić, że znalazłam na ziemi współzawodniczkę i porzucają mię dla niej. Niema już ofiar na moich ołtarzach; cała ich pobożność skierowała się ku niegodnej istocie, którą przełożyli nade mnie... Powinnabym zażądać od Zeusa, żeby zniweczył ród człowieka piorunowym grotem, ale ludzie są ślepi

i bezrozumni, a więc — nieodpowiedzialni. Nie ich należy karać, lecz raczej tę dumną córkę króla, która odbiera hołdy, mnie przynależne. Synu mój, liczę na ciebie. Weź swój łuk, zejdź na ziemię i zemścij się za mnie głośno, jawnie!

Eros objął uściskiem białe kolana Afrodyty.

— „Nie mylisz się, licząc na mnie, matko moja!

— Jak prawdą jest, żeś najpiękniejsza z bogiń, tak prawdą, że ja najchytrzejszy z bogów i prawdą również, że dumna księżniczka stanie się przedmiotem wzgardy dla tych wszystkich, którzy uwielbiają ją dzisiaj. Powiedz mi tylko jej imię“.

— Zwie się Psyche.

— Dobrze. Odnowię strzały swego kołczanu i biegnę do niej.

Eros byłby przestąpił przezorniej, dając przyrzeczenie dopiero po ujrzeniu księżniczki. Zobaczywszy ją, wpadł w taki zachwyt, że zapomniał o wszystkich swoich obietnicach. Wiadomo zresztą, że podobne zapomnienia przytrafiają się małemu bożkowi często i że krzywoprzysięstwo stanowi poniekąd jedną z jego zasad. Co jednak wydało mu się nadzwyczajnem, to ten rodzaj dziwnego uczucia, jakiego doznał wobec Psyche. Eros nie mógł mieć wątpliwości: uczucie to — to była miłość. Zdziwiła ona go tak bardzo, że zakłął sam siebie jedną ze strzał, przeznaczonych dla księżniczki. Od tej chwili zginął; stał się sam swoją własną ofiarą, ponieważ trucizna strzały przeszła w krew jego.

— Nędzny zdrajco! — krzyczała z wysokości Olimpu Wenus na syna swego, rwąc z rozpaczyny długie włosy złociste.

Na krzyk jej przybiegł Apollo i schwycił ją w ramiona zanoszącą się od płaczu.

— Synu Zeusa — zawołała — o, jakże jestem nieszczęśliwa! — Czyż nie zemścisz się za mnie ty przynajmniej, którego kochałam pierwszą miłością? — Ach! jeżeli nie jesteś niewdzięcznikiem, to uczynisz coś dla mnie. Nie zapomniałeś chyba jeszcze szczęśliwych chwil, które przeżyliśmy razem na wyspie Rodos pod deszczem róż? — Czy to podobne, powiedz mi ty, który mię znasz dobrze — czy podobne, aby ziemską istota mogła być piękniejszą od Afrodyty?

To mówiąc, zarzuciła na szyję Apollona drżące swe ramiona, pełne czaru upojeń, białe, różowe, z siatką żyłek błękitnych.

Apollon zadrżał, upewnił ją, że pamięta dobrze rozkosze wyspy Rodos, następnie dodał:

— Słuchaj, Afrodyte, wynalazłem środek pozbycia się owej Psyche, którą ludzie uwielbiają tak ślepo, iż możnaby sądzić, że odmawiam im światła swego. Wiesz, iż władam na ziemi mnóstwem wyroczeni. Skieruję jedną z nich tak, aby doradziła ojcu niegodnej księżniczki zabicie jej własną ręką na ołtarzu ofiarnym.

— Nie! — odparła Wenus — niech nie umiera: kara taka byłaby zbyt krótka...

— Masz słuszność. Niechaj zostanie wygnaną, aby ludzie zapomnieli o niej i aby w tem wygnaniu przechodziła najsrozsze udręczenia!

* * *

Istotnie ojciec Psyche podążył wkrótce zasięgnąć rady wyroczeni. Niepokoiła go córka, chwiejna w wyborze męża. Z pomiędzy niezliczonej ilości starających się, którzy przybiegali z różnych krańców świata, mając za sobą ten godła chwały, tamten — wielkie bogactwa, — nie mogła upatrzeć dla siebie żadnego.

Ostatnim w szeregu nowoprzybyłych był książę wszechpotężny, którego gniew rokował srogie niebezpieczeństwa, a przychylność cenne korzyści. Psyche odrzuciła go nie przez dumę, lecz przez niejasne jakieś przecucie, iż mąż, którego los jej przeznacza, nie należy do świata śmiertelnych.

Król zapytał się wyroczni, o ile słuszne są przewidywania córki?

— Królu — odparł kapłan za podszeptem Apollona — Psyche do połowy zaledwie odgaduje los swój. Ten, który ma zostać jej małżonkiem, nie był jeszcze istotnie na dworze twoim. Lecz niech się strzeże! — nie dla niej szczęśliwe małżeństwo! — Oblubieniec, którego ma pojąć, jest strasznym potworem, zrodzonym z zatrutych wód Styksu. Jeżeli chcesz uchronić lud swój i państwo swoje od spustoszenia, jakie sieje to stworzenie ohydne, należy uprowadzić córkę twoją w szatach żałobnych na szczyt jakiej góry i pozostawić ją tam.

Król, dobry monarcha, kochał naród swój więcej jeszcze od dzieci swoich.

Mimo rozpaczy, postanowił usłuchać głosu wyroczni.

Można wyobrazić sobie troskę, jaka opanowała całe państwo w dniu, w którym okryto Psyche czarnym welonem i przy dźwiękach fletów żałobnych wyprowadzono za miasto! — Tłum wybuchnął łkaniem, przysięgając, iż byłby wolał zginąć raczej w paszczy potwora, aniżeli usunąć z pomiędzy siebie boską Psyche.

Król jednak, opanowawszy własną swą boleść, pozostał nieugięty i z podniosłą rezygnacją szedł wolno za córką swoją na górę, gdzie miał ją porzucić.

Bardziej jeszcze od niego spokojna i woli bogów poddana, Psyche z pogodą i wielkiem wewnętrznem skupieniem wstępowała na szczyty. Szaty żałobne nie

zdołały zaćmić piękności jej, tak że drzewa, koło których przechodziła, drżały rozkoszą miłosną, rzucając pod stopy jej kwiaty i liście.

Długo trwał pochód, aż nareszcie ujrzano grupę skał, nawiedzanych przez dzikie orły jedynie. Było to miejsce, które wskazywała wyrocznia jako schronienie wygnanki.

Ostry krzyk bólu wyrwał się ze wszystkich piersi, gdy król po raz ostatni ucałował czoło córki i odwrócił się nagle, by uciec w szaleństwie rozpacz. Zostało mu jednak tyle jeszcze przytomności i siły, że rozkazał podwładnym swoim, aby podążyli za nim.

W smutku ogólnym łzami udanymi płakały tylko starsze córki królewskie, myśląc w duszy:

-- Teraz, gdy Psyche umarła dla ludzi, wszyscy starający się przyjdą do nas...

...Opuszczona przez wszystkich Psyche tymczasem spojrzała dokoła i nie dostrzegła nic, prócz przepaści, a z każdej z nich zdawał się wylazić potwór, przeznaczony na męża jej.

Spokój i rezygnacya odbiegły ją nagle, a przyszedł strach, pod którym ugięły się kolana i wyciągnęły ręce, jak gdyby wzywając na pomoc tajemniczego jakiegoś zbawcę... Padła krzyżem na twarde kamienie piękna dziewczyna.

*

*

*

Jakież było zdumienie jej, gdy podniosła powieki! — Zamiast ciemnych przepaści, nad którymi ją porzucono, ujrzała dokoła siebie jaspisowe kolumny, ściany z agatu i dyamentowe posadzki. Zamiast skał, na które padła zemdlona, uczuła pod sobą łoże z piór łabędzich, oparte o złociste trójnogi z rozpiętym w górze purpurowym baldachimem. Nie miała już na

sobie żałobnych osłon, lecz tkaniny tak cudowne, jak przepaska Wenery. Ramiona jej, piersi i stopy uginały się pod ciężarem takiego mnóstwa drogocennych kamieni, że na widok ich nie mogła powstrzymać radoznego śmiechu.

Wstała, by upewnić się, czy nie śni, przeszła sale olbrzymie, jedne piękniejsze od drugich i dotarła do szerokiego tarasu, skąd wzrok biegł na zaczarowane ogrody w dali. Po wonnych alejach, ukwieconych bogactwem roślin nieznanych, przechadzały się wspaniałe pawie o ogonach w oczy złociste; na wielkim stawie, którego fala opadała cichą kaskadą, przepływały z jednej koralowej wyspy na drugą białe łabędzie, a dalej w gaju mirtowym wyciągały ku sobie dziobki dwie synogarlice.

— Gdzież jestem? — gdzież jestem? — zawołała Psyche.

A Zefir szepnął jej do ucha:

— Nie dziw się, księżniczko; ja to porwałem ciebie zemdloną i przyniosłem tutaj cichutko. Jesteś w pałacu małżonka twego.

— Co? — małżonka mego, tego straszego potwora? — Czyż podobna, aby do niego należał ten pałac wspaniały? —

— Nic więcej nad to, co rzekłem, nie umiem ci powiedzieć, piękna Psyche.

— Dodaj przynajmniej jeszcze, kiedy mam go się spodziewać?

— Tej nocy jeszcze, bądź cierpliwa!

Psyche byłaby chciała pytać dalej nadpowietrznego powiernika swego, lecz już odfrunął, zostawiając za sobą tylko długie lazurowo-srebrzyste smugi na tafli stawu, który musnął, unosząc się nad nim.

Tymczasem jednak nadbiegł rój nimf, okrążając

ją i ofiarowując jej usługi swoje, zapewniając, że każdy jej kaprys najprzelotniejszy zostanie zaspokojony.

Psyche oddaliła je od siebie: pragnęła jednego tylko — nadejścia nocy, a z nią poznania przyszłego swego małżonka.

Och, jakże długo obiegał niebo wóz Apollona! — Wieczór wszakże zapadł w końcu, a nimfy zaniósły księżniczkę na łożo z piór łabędzich, zlały ją wonnościami i ubrały wspaniale.

Nagle Psyche usłyszała tuż obok siebie głos uroczy:

— Czy jesteś zadowolona, księżniczko, z pałacu, który kazałem wystawić dla ciebie?

I jednocześnie uczuła na sobie uścisk pieszczoty.

— Kto jesteś? Powiedz — zawołała, drżąc ze strachu i z rozkoszy zarazem.

— Nie bój się. Jestem małżonkiem twoim, lecz nie tym okrutnym potworem, którego zwiastowała ci kłamliwa wyrocznia, a tym, którego zapowiadały ci mętne twe przeczucia. Chciałbym określić dokładnie, kim jest ten, który cię kocha, lecz nie mogę: muszę pozostać niewidzialnym dla oczu twoich.

— Och! — odrzekła Psyche — czuję, że nie możesz być potworem. Jakże słodką jest twa mowa! — Nie przypuszczałam, żeby mogła istnieć równie cudowna, porywająca duszę muzyka! — Jakie słodkie są twe pieszczoty! — Nie sądziłam, żeby mogło istnieć coś, co daje ciału tyle rozkoszy... Och! — mów, mów jeszcze i bierz mię całą! — Lecz dlaczego ta męka niewidzenia ciebie?

— Nie pytaj o to. Nie mogę ci odpowiedzieć. Ja ciebie widzę i to mię wprawia w zachwyt; z chwilą gdybyś ty mię zobaczyła, jednak straciłabyś mnie na zawsze...

— Stracić ciebie, stracić? — och, jakżebym mogła przystać na to dobrowolnie? — Poddam ci się więc, panie mój i małżonku, bo już teraz nie pragnę niczego, jak tylko słuchać ciebie i spełniać wszystko, czego zażadasz ode mnie...

Czy podobna opisać słowami tę noc rozkoszy? — noc, zbyt krótka, niestety! — O zorzy wschodzącej bowiem Psyche płakała już na łożu swoim sama.

Tajemniczy małżonek zniknął z pierwszymi promieniami jutrzeńki i nie wibrował już głos jego, szepczący słowa, tak pełne nieziemskiej podniety!

* * *

Następnych nocy jednak wrócił i były to coraz nowe rozkosze.

Kiedyś w czasie takich odwiedzin Psyche rzekła do niego:

— Panie mój, dnię dłużą mi się bez ciebie, mimo czarów, jakimi tak hojnie obsypałeś ten pałac; omdlewam z tęsknoty, czekając na ciebie aż do wieczora. Ty, który stwarzasz cuda, czy nie zechciałbyś zezwolić, aby starsze moje siostry przybywały do mnie kiedy niekiedy w czasie twej nieobecności?

— Twoje dwie siostry, które nienawidzą ciebie? — Strzeż się, nie pragnij zobaczenia ich! — Trudno im było ukryć radość swoją, gdy zostałaś zesłana na wygnanie.

— Ależ gdzie tam, widziałam sama, jak płakały. A zresztą, ja je kocham. Przysięgam ci, że gdybyśmy mogły spotkać się znowu, byłyby nie mniej szczęśliwe ode mnie.

I gdy tak w dalszym ciągu nalegała Psyche, kochanek jej rzekł w końcu:

— Nie chcę uchodzić wobec ciebie za samoluba.

który pochłania cię sobą. Jutro ujrzysz siostry swoje, nie dowierzaj jednak radom ich.

Nazajutrz, istotnie, dwie brzydkie księżniczki przybyły do pałacu zaczarowanego, przyniesione na skrzydłach Zefira.

Ujrzawszy cuda, otaczające Psyche, nie mogły wierzyć oczom własnym i patrzyły ze zdumieniem jedna na drugą. Dzika zazdrość gryzła ich serca; zdawało się, że padną, zdręzione tłumioną złością.

Psyche przywróciła im siły szlachetnym napojem, podanym w złotych, rubinami wysadzanych czarach.

Wówczas obrzuciły siostry pytaniami:

— Jesteś więc szczęśliwa?

— Bajecznie.

— Tem lepiej! — a ja tak bałam się o ciebie! — myślałam, że mąż twój, ten potwór, już cię pożarł!

— Och, mój mąż nie jest potworem.

— Ach! — więc on nie taki straszny, odpychający, jak ci to zwiastowała wyrocznia?

— Nigdy nie mogłam spodziewać się równie szczęśliwego związku...

— Faktem jest, że niewiele książąt byłoby w stanie otoczyć cię takim zbytkiem.

— Och! do tego nie przywiązuję wagi. Co mię w nim zachwyca, to...

Tu Psyche wydała się nieco zakłopotana.

— To — spytały obie siostry ze zdwojoną ciekawością.

— To — słodycz jego głosu... urok jego mowy...

— Jakto? — nic więcej po nadto? — A jakież są rysy jego? — Czy wysoki, silny, zdolny do władania ciężką maczugą, jak Herkules? — Czy ra-

czej jest strzelcem młodzieńczym o subtelnym wdzięku Adonisa?

— To ostatnie chyba.

— Nie wydajesz się zbyt pewną słów swoich; przedstaw nam go zatem, a same osądzimy.

— Ale kiedy...

— Och, nie będziesz chyba przecież zazdrosną o nas? — A sędzę, że obowiązkiem twoim nawet jest zapoznać nas z nim...

— Bez wątpienia... Dziś jednak żadnym sposobem nie mogę spełnić życzeń waszych... mój mąż jest nieobecny...

— A dokąd udał się?

— Nie wiem.

— Jakto, nie powiedział ci? — Jeżeli tak, to znaczy, że nie kocha ciebie.

— Ależ gdzie tam: kocha mię bardzo.

— Nie, nie kocha. Po kilku dniach małżeństwa zostawić ciebie samą tutaj, to nie dowód miłości.

Dwie brzydkie siostry zaczęły nacierać z taką złośliwą natarczywością, że Psyche rozplakała się w końcu i, łkając, wyznała im, że nie zna wcale swego małżonka.

Wówczas obie roześmiały się złym śmiechem na całe gardło.

— Ha, ha, ha, ha! — dlaczegoż nie powiedziałaś tego od samego początku? — Na Dyanę przeczystą! — jeżeli mąż twój nie daje ci się poznać, to z pewnością dlatego, że jest owym potworem, którego przepowiedziała ci wyrocznia. Możesz dowodzić, co chcesz: faktem jest, że pozwoliłaś nadużyć swego zaufania. W każdym razie, gdybym była na twojem miejscu, musiałabym wiedzieć bezwarunkowo, czego się trzymać... i tej nocy jeszcze niezwłocznie zapaliłabym

lampę w chwili najodpowiedniejszej, by odkryć tajemnicę.

— Och! — rzekła Psyche — tego właśnie zabronił mi surowo.

Znowu głuchy śmiech złośliwy zasyczał na ustach obydwóch sióstr.

— Zapewne, musi mieć powody po temu... tak jest... istotnie... Ale widzisz, gdybyś była zręczną, twój małżonek nie wiedziałby nawet, że przekroczyłaś zakaz jego. No, mamy nadzieję, że udzielisz nam dokładniejszych objaśnień, gdy drugi raz odwiedzimy ciebie...

... Czemuż najchętniej słuchamy złych rad zawsze?

Za nadejściem nocy Psyche w objęciach małżonka rozpamiętywała wszystko, co powiedziały jej siostry.

Nagle spotrzegłszy, że tajemniczy kochanek zasnął snem głębokim, schwyciła lampę i zapaliła ją:

Och, jakże dziwne wzruszenie opanowało ją, gdy pochyliwszy światło nad łóżem z piór łabędzich, ujrziała w nim boskiego Erosa!

Tyle było wdzięku w słodkim śnie małego bożka, w ruchu ręki, podłożonej pod złociste kędziory, w rozchylonych, jak dla pocałunku, ustach różanych, w całym, dziwnie uroczem cielem, którego blask różowy podniosło jeszcze światło lampy, ... że Psyche nie mogła opanować dreszczy rozkosznych.

W tej chwili jednak z drżących jej rąk padła kropla oliwy na odsłonięte piersi boskiego małżonka. Obudził się.

— Co zrobiłaś, Psyche? — zawołał. — Pamiętasz, przecież jeden tylko warunek postawiłem dla utrzymania naszej miłości, a tym była: ślepa ufność. Nie doczekałaś końca próby. Niecierpliwa twa cieka-

wość zgubiła nas. Wiedz, że prawdziwa miłość nie znosi nieufności. Zegnaj więc, Psyche, zegnaj! — ty, która nie okazałaś się godną boskiego ukochania!

To powiedziawszy, Eros zniknął, a wraz z nim zapadł się pod ziemię wspaniały pałac, w którym Psyche przeżyła kilka chwil szczęśliwych, tak krótkich niestety!

I znowu otoczyły ją ciemne przepaście, nad którymi porzucił ją ojciec.

Błędniemi oczyma spojrzała w jedną z nich. Ze strasznym łoskotem staczał się z niej strumień gwałtowny, skacząc po skałach, niby pianą okryty potwór.

— Erosie, Erosie, przebacz mi! — błagała. — Ponieważ nie umiałam być małżonką twoją, niechaj zostanie żoną tego wściekłego potwora!

I skoczyła na dno potoku, huczącego pod stopami jej.

Wkrótce potem siostry nieszczęsnej Psyche, ciekawe skutku rad swoich, przyszły na szczyt góry. Spodziewały się, że Zefir poniesie je znowu na skrzydłach swoich do zaczarowanego pałacu, lecz na głosy ich, wzywające Zefira, odpowiedziała tylko wściekła wichura, porywając je z sobą w głąb otchłani.

* * *

Potok jednak, na którego dno rzuciła się nieszczęsna Psyche, nie pożałował zgoła takiego łupu. Uspokoiwszy nagle rozhukane swe fale, złożył cichutko zropaczoną kobietę na soczystej murawie.

Lecz co mogło obchodzić ją życie z chwilą, w której, jako wdowa po Erosie, boskim swym małżonku, musiała pędzić je samotnie?

Błądziła więc bez celu i bez nadziei, nie wiedząc, gdzie szukać schronienia.

A jednak czuła już drżący w łonie swoim owoc krótkiego związku.

Upadając ze znużenia, weszła któregoś dnia do świątyni Cerery, by spocząć tam chwilę. A gdy zaczęła błagać boginię o współczucie dla swej męki, taką usłyszała odpowiedź:

— Nie mnie to winnaś błagać, biedna Psyche, lecz mściwą Wenus. Nie wiesz, zdaje się, że całe twe nieszczęście wywołała jej zazdrość. Jeżeli chcesz położyć koniec nienawiści jej, trzeba, abyś ukorzyła się u stóp tej bogini i błagała przebaczenia za to, żeś zbyt piękna.

Psyche pobiegła wówczas do świątyni Afrodyty.

— O Wenus, jeżeli prawdą jest, że obraziłam ciebie, zechciej ulitować się nad łzami mojemu. Niestety, jeżeli byłam piękną niegdyś, to teraz — spojrzij na mnie, o bogini!... wszak już nią nie jestem. Tyle łez wylałam, że oczy moje straciły blask dawny. Tyle cierpiałam, że wychudło ciało moje. Jeżeli zawiniłam kiedykolwiek, spotkała mnie kara. O najpromienniejsza z bogiń Olimpu, byłam niegodną zostać małżonką syna twego, przyznaję to i nie żądam już nawet przywrócenia tego szczęścia; chcę tylko, abyś raz już położyła koniec udręczeniom moim, zsyłając śmierć na mnie.

Zaledwie skończyła wzruszające swe modły, ukazała się przed nią okrutna Cypryda.

— Nie, mękom twoim nie będzie jeszcze końca — rzekła. — Nietylko odebrałaś mi chwałę moją, lecz także i syna mojego. Za podobne występki nie możesz spodziewać się prędkiego przebaczenia. Przez szereg nowych prób przejść musisz, aby je zasłużyć.

Psyche poddała się wszystkiemu.

Na rozkaz Wenery Smutek i Samotność smagały

ją boleśnie swymi kolcami, a ona nie podniosła skargi żalostnej.

Bez buntu usłuchała, gdy matka Erosa rozkazała jej w ciągu kilku minut rozdzielić olbrzymi stos ziaren na jęczmień, pszenicę i owies; biegła po zrębach skał kolących i ostrzach mieczy po kłębek złotej wełny z grzbietu poświęcanej owcy; szła czerpać wodę ze studni zatrutej, strzeżonej przez wściekłe smoki.

W każdej z tych ciężkich robót widziała śmierć pewną i oczekiwała jej, lecz ta koicielka nie przychodziła.

Ostatnią nadzieję obudził w niej rozkaz Wenery, która wysłała ją do otchłani piekielnych, by wyprosiła u Prozerpiny puszkę z balsamem piękności.

— Może Prozerpina zatrzyma mię u siebie: poproszę ją zresztą o to — pomyślała.

Bogini piekieł odpowiedziała jednak:

— Nie chcę ciebie mieć nad ponurym Awernem, tym przybytkiem udręczeń, który obecność twoja zmieniłaby na świątynię rozkoszy. Przyjmę ciebie tylko na rozkaz Zeusa. Wracaj pośpiesznie i oddaj Wenerze tę puszkę. Ucieszy się nią tak dalece, że z pewnością nie omieszka być cokolwiek łaskawszą dla ciebie. Pamiętaj jednak, żebyś nie otworzyła jej w drodze!

Niestety, czemuż królowa dała jej to zlecenie?

Psyche przedtem byłaby nawet nie pomyślała o zajrzeniu do tajemniczego pudełka, lecz z chwilą, w której padł zakaz...

Jak pierwszym razem, tak i teraz zgubiła ją ciekawość.

Nie zdążyła jeszcze zstąpić na ziemię, gdy już za naciśnięciem odskoczyło wieko puszki.

Dym piekielny rozszedł się nagle i otoczył ją czarnymi kłębami. Psyche padła na ziemię bez czucia.

* * *

*

Eros kochał jednak wciąż nieszczęsną swą małżonkę.

Widząc jej męki, podniósł wreszcie bunt przeciw okrucieństwu matki.

Podbiegłszy teraz do zemdlonej Psyche, wziął ją za rękę i zbudził pocałunkiem.

— Wstań, piękna małżonko moja — rzekł. Zbyt wiele cierpiełaś. Pójdziemy do Zeusa zażądać sprawiedliwości.

I Zeus wzruszył się, niepodobieństwem bowiem było pozostać nieczułym na wdzięki tej pary promiennej, Erosa i Psyche, błagających ręką w rękę, by pozwolono im się kochać.

Pan Olimpu wyprawił im nawet wspaniałe wesele.

Była to uroczystość, jakiej nie pamiętano. Wszyscy starzy bogowie płakali, odmłodzeni, na widok tego związku; nektar i ambrozja lały się strumieniami.

Psyche, wzięwszy z rąk Hebe czaszę, pełną napoju, który daje nieśmiertelność, wychyliła ją duszkiem przy gromkich okrzykach radości całego Olimpu.

Wypiła nektar wiecznej piękności.

... Wkrótce potem wydała na świat Rozkosz, owoc boskiej swej miłości.

Po raz pierwszy legenda o Psyche pojawia się u Apulejusa w opowieści p. t. „Złoty osioł“, którego jest ozdobą.

Jeżeli, powtarzając ją, odbiegaliśmy chwilami od

tekstu filozofa łacińskiego, to dlatego tylko, że bajka nie jest jego pomysłem, lecz stanowi jedynie misterne opracowanie tematu, już dawniej istniejącego, a dającego pole do bujnych wzlotów wyobraźni.

„Baśń o miłości Erosa i Psyche — mówi H. Blaze de Buzy — jest jednym z tych tajemniczych tchnień umysłu ludzkiego, które błędzą w przestworach wiekuistych bez końca, zdane na wolę kapryśnych zefirów, ubarwione, rozświetzone blaskiem wszystkich jutrzeńek...”

Nie wpadła jeszcze, jak inne legendy (Rama, Prometeusz, Faust itp.) w ręce geniuszu, któryby nadał jej formę ostateczną i wiecznotrwałą. Różni autorowie osnuwali na tem tle różnymi czasy bajki, poematy, a nawet tragi-komiczne balety, jak Molière i Corneille dla uczczenia jednej z uroczystości tuleryjskich w karnawale 1670 r., lecz żadne z tych dzieł nie stanowi pomnikowej pracy, którą chlubi się ludzkość.

A szkoda, podanie o Psyche bowiem wyobraża jeden z najrozleglejszych symboli, symbol duszy naszej, przeznaczonej, jak piękna królewna, na boskie zaślubiny z ideałem, do którego wciąż dąży. Blizka osiągnięcia go, czuje czasami tajemniczego kochanka tuż przy sobie; niewidzialny, odurza ją mistycznym swem tchnieniem. Powstają jednak namiętności, te złe doradczynie, którym dusza nasza daje posłuch, tak samo jak dała posłuch podszeptom przewrotnych siostr swoich niebaczna Psyche: boski oblubieniec znika wraz z zaczarowanym pałacem marzeń, w którym go tylko odnaleźć można, a wówczas wdowi smutek pada na duszę opuszczoną. Po kolech długich prób i doświadczeń dopiero wrócić może do niebiańskiego swego kochanka.

V.

Legenda o Czarnoksiężniku Merliwe.

Gortigern, król Bretanii, nienawidzony był przez poddanych.

Niedość że dla odparcia najazdu Piktów wezwał na pomoc obcych pogan, ale jeszcze, wbrew oburzeniu własnego chrześcijańskiego ludu, zaślubił córkę Hengista, wodza bałwochwalczych swych sprzymierzeńców, by zaś dostać ją za żonę, nie zawahał się na żądanie jej ojca ustąpić mu całą wschodnią część królestwa.

Nareszcie pewien czyn ohydny spowodził wybuch groźnego buntu. Gortigern, władca niedołężny, a więcej jeszcze nikezemny i rozwiązły, shańbił własną córkę, gdy zaś zbrodnia wyszła na jaw, śmiało rzucił oskarżenie na Germana, biskupa z Auxerre.

Ten jednak, dzięki swej nabożności i odwadze, był przedmiotem czci powszechnej. Jemu to właśnie zawdzięczano świeże zwycięstwo nad Saksonami.

Napiętnowany przez kler, obrzucony przekleństwami ogółu, niecny tyran musiał ugodzić, zabrawszy ze sobą swych czarnoksiężników.

A gdy zapytał ich, w którą ma iść stronę, radzili mu udać się w głąb królestwa i szukać fortecy, któraby go obroniła od nieprzyjaciół.

Po długich dniach wędrówki zaszedł król stracony z tronu wraz z siostrą swoją do góry Śnieżnej na północy Kambryi.

Tu zatrzymali go czarnoksiężnicy.

— Na tem miejscu oto należy wznieść warownię, niezdobytą dzięki położeniu swemu.

Zaledwie jednak zdołano zgromadzić robotników i materiały budowlany, kiedy nagle kamienie i ludzie zapadli się w ziemię.

Przerażony Gortigern zasięgnął rady wróżbitów.

— Jak zakląć złego ducha, by nie przeszkadzał moim zamiarom? — spytał.

Czarownicy po krótkiej chwili zastanowienia odparli jednomyślnie:

— Trzeba znaleźć dziecko, nie mające ojca, zabić je i krwią skropić ziemię, na której chcesz zbudować twierdzę. Inaczej nigdy wznieść jej nie zdołasz.

Na rozkaz króla rozesłano niezwłocznie gońców po całej Bretanii. Po długich poszukiwaniach przyprowadzono wreszcie dziecko, odpowiadające wymaganym warunkom, według zeznań towarzyszy i własnej matki bowiem nie miało ojca.

Młody więzień, stawiony przed oblicze upadłego monarchy, spytał tonem, dziwnie wyniosłym:

— Dlaczego ludzie twoi przyprowadzili mię tutaj?

— Aby cię zabić — odparł bez najlżejszego drżenia litości w głosie okrutny Gortigern. — Krwią twoją skropione musi być miejsce, gdzie stanąć ma twierdza moja, to bowiem tylko pozwoli ją wznieść i utrzymać.

— Kto kazał ci w to uwierzyć?

— Wróżbici moi.

— Niech stawiają się i pomówią ze mną.

Król, zdjęty ciekawością, spełnił życzenie dziecka, ono zaś pytało surowo zgromadzonych wróżbiarzy:

— Skąd wiecie, że twierdza musi być zroszona krwią moją? Jeśli naprawdę odgadywać umiecie tajemnice przyrody, powiedzcie królowi, co znajduje się pod ziemią na miejscu, gdzie chce zamek zbudować. Czy macie o tem pojęcie?

— Nie, nie mamy — wyznali czarodzieje.

— A więc powiem wam — rzekło chłopię. — Jest tam wielkie jezioro: rozkażcie kopać, a odnajdziecie je.

Posłuchano rady dziecka i natrafiono istotnie na przepowiedzianą wodę.

— A teraz — ciągnęło dalej dziecię — czy umielibyście powiedzieć, co znajduje się na dnie tych wód?

Czarnoksiężnicy znowu musieli przyznać się do niewiadomości.

— Więc i to jeszcze wam wyjaśnię — rzekł niezwykły mały więzień. — Pod jeziorem jest jaskinia, której strzegą dwa smoki, a każde ich poruszenie wstrząsa skałą, jeziorem i ziemią.

Idąc za wskazówkami dziecka, zaczęto prowadzić dalej poszukiwania i natrafiono rzeczywiście na pieczarę, której strzegły dwa walczące z sobą węże. Jeden z nich był czerwony, drugi biały. Po długich wysiłkach pierwszy wąż zdołał wygnać z jaskini drugiego i popędził za nim przez jezioro.

— Czy zgadniesz królu, co znaczy walka tych dwóch gadów? — pytał mały wieszczek. — Ponieważ twój czarnoksiężnicy nie wiedzą tego, więc ja ci rzecz całą wyjaśnię. Węże mają barwy dwóch proporców narodowych: czerwony oznacza twój sztandar, biały

— chorągiew nieprzyjaciół Bretanii. Na razie Saksoni zdobędą ją całą, lecz potem lud nasz powstanie i wypędzi mężnie najeźdźców aż poza wody oceanu... Ty zaś, upadły tyranie, uciekaj wciąż dalej i błakaj się nędznie, gdyż warowni zbudować nie zdołasz nigdy... Co do mnie, ja żyć będę. Nie masz dosyć władzy, by zmusić mię do opuszczenia ziemi, którą mi los przeznaczył...

Król, przerażony przepowiedniami dziecka, a także dziwnem pomieszaniem czarnoksiężników, zwiesił głowę na piersi i kazał uwolnić małego więźnia, naza jutrz zaś rozpoczął poprzednią swą włóczęgę. Wściekły, w gęstwinie lasów starał się ukryć poniżenie swoje.

* * *

*

Kim było to natchnione dziecko, ten młody prorok, od którego biło objawienie tak wielkiej nieziemskiej potęgi?

Przyjście jego na świat osłaniała tajemnica.

Twierdzono, że był synem demona inkuba i zakonnicy jednego z klasztorów kambryjskich. Wgnana z powodu mimowolnej ciąży, wyklęta przez biskupa Gildasa, schroniła się w nieszczęściu swem do wielkiego mistrza zgromadzenia bardów, Taliesina.

Ten dał dziecku na imię „Merlin“ i przyrzekł je wychować.

Żaden z jego uczniów nie okazał tylu i tak niezwykłych zdolności. Zdawało się, iż z góry, intuicyjnie włada kluczem podniosłych symboli i posiadał jądro wielkich tajemnic, które mistrz przed nim osłaniał, czyli że doszukał się początków potrójnego życia: otchłani ziemi i nieba.

W bardzo wielu wypadkach dziecię zdziwiło całe

otoczenie swoje niezwykłemi przepowiedniami na wzór tej, jakiej udzieliło królowi Gortigernowi.

Taliesin zrozumiał, że ciąży na nim wielkie powołanie.

To też w kilka lat później wyświęcił go uroczyście na barda-proroka, rozkazawszy mu przedtem przejść przez próby, konieczne dla otrzymania tej godności.

Piastując ją, Merlin oddał wielkie usługi następcom Gortigerna, zwłaszcza Uther Penn Dragonowi, któremu kilkakrotnie pomógł odeprzeć Saksonów.

Zwycięstwa te jednak zostały opłacone życiem licznych wojowników, których kości bieląły na polach Ameryki. Merlin chcąc uczcić ich, udzielił królowi rady następującej:

— Na szczycie jednej z gór w Irlandyi są kamienie zdumiewającej wielkości, ułożone jakby w koło taneczne i noszące stąd nazwę: „Taniec olbrzymów“ (Kor y Kewri)... Niema na całym świecie pomnika bardziej trwałego i bardziej odpowiadającego czci naszych rycerzy...

Cesarz zaznaczył niepodobieństwo sprowadzenia tych ciężkich brył granitowych, prorok jednak nalegał:

— Są to kamienie tajemnicze, obdarzone właściwością leczenia wielu chorób. Woda, spływająca ze sfer niebieskich we wklęsłości ich, koi rany i przywraca chorym życie. U podstaw ich plenią się rośliny, obdarzone tysiącem zbawiennych czynników.

Wówczas król wezwał piętnaście tysięcy ludzi z pomiędzy ochotników, kazał im wsiąść na okręty i pojechać pod wodzą Merlina. Próżno król Irlandyi sprzeciwiał się wylądowaniu Bretonów. Zmusili go oni wkrótce do ucieczki i zdobyli natychmiast górę, gdzie, ułożone w cztery spółśrodkowe koła, wznosiły się słynne owe głazy olbrzymów.

Próżny jednak był trud piętnastu tysięcy robotników, którzy pracowali noc całą i cały dzień następny nad wydobyciem kamieni: ani jeden z nich nie drgnął... Drugi wieczór nadchodził; zniechęceni żołnierze rzucili narzędzia pracy, gdy Merlin wszedł w zaczarowane koło olbrzymów. Wdrapał się na stół kamienny, wzniesiony pośrodku, następnie, wzniosłszy ponad głowę harfę swą, zalaną magicznym blaskiem księżycy, zanucił tę oto pieśń dźwięczną:

„Nadeszła godzina! — Budzi się chór cudotwórczych kamieni; powstają w takcie rytmicznym; chwieją się, promienne, w posępnem kole u podstaw swoich; każdy z nich składa pokłon temu przedewszystkiem, co prowadzi taniec...

I istotnie, zaklęte pieśnią mistyczną, głowy olbrzymie wystąpiły z ziemi i, niby stado, posłuszne wezwaniu nowoczesnego Orfeusza, zeszły za bardem aż nad brzeg rzeki.

W długim pochodzie uroczystym minęła ocean ta granitowa flota, prując fale i zostawiając za sobą smugi białej piany...

Za powrotem do kraju Armoryjskiego ujrzeli żołnierze na polach, bielejących od kości poległych rycerzy, cztery rzędy kamieni, ułożonych w spółśrodkowe koła, jak w Irlandyi.

Bard - prorok dokonał później stokroć większych jeszcze czynów.

Za jego wolą powstał przedewszystkiem ów słynny Stół Okrągły, dokola którego zasiadało pięćdziesięciu najdosłojniejszych rycerzy i obywateli państwa. Twierdził przytem, iż był to ów zaginiony a znaleziony przez niego stół, przy którym ucztował Chrystus wraz z uczniami swymi.

By ustanowić go ostatecznie, udał się na uroczy-

stość Zielonych Świątek do Cardenil w Galii, gdzie przebywał podówczas król wraz z całą swoją świtą. Zasiadłszy w liczbie pięćdziesięciu dokoła stołu, wybrani rycerze złożyli przysięgę, że mają wszyscy jedno tylko serce i iść będą ręką w rękę, a rozdzieli ich śmierć chyba tylko.

Działo się to za panowania Uthera.

*

*

*

Merlin zapowiedział jednak, iż rycerze, którzy zasiadają przy Okrągłym Stole za panowania króla Artura, będą jeszcze dzielniejsi i większą od tych pierwszych okryci chwałą. Dołożył też wszelkich możliwych starań, aby uświetnić rządy Artura.

W tym celu porwał małe królewiątko, dziecko jeszcze z rąk ojca, by móżdż je wychować samemu w lesie. Starcowi, imieniem Antor, powierzył pieczę wyżywienia księcia, sam zaś zajął się kształceniem jego.

A oto w jaki sposób doprowadził do tego, że Artur został obwołany królem po śmierci Uthera.

Posłowie przybyli do niego, narzekając na kłopot, w jakim znaleźli się nagle baronowie i naród cały, gdy przyszło im wybrać następcę Uthera, który nie zostawił syna.

Merlin przyrzekł pokierować wyborem i w tym celu postanowił towarzyszyć przedstawicielom ludu bretońskiego do miasta Kaerlleonu.

Tam rzekł do narodu:

— Ponieważ żądacie rady mojej, dam wam ją, dobrą i uczciwą, zgodną z prawami boskimi i ziemskimi. Oto nadchodzi wielki dzień, w którym narodził się Król królów. Zwiastuję wam więc, że, jeżeli w tym czasie zaniesiecie modły najgorętsze do Pana na-

szego Najwyższego, stanie się cud i znajdziecie króla.

Jakoż w dzień Bożego Narodzenia tłum, wychodząc z mszy porannej, ujrzał przed portykiem katedry olbrzymią szablę z rękojścią onyksową i napisem na gardzie:

Celui qui, me retirera

De par Jesus Christ roi sera.

(Kto mię wyciągnie, w imię Chrystusa, królem zostanie).

Arcybiskup Kaerlleonu zaprosił wówczas sześciu królów Wielkiej Bretanii, a także baronów i rycerzy do odbycia próby, wskazanej przez napis, cudem objawiony, nikt jednak nie zdołał wyjąć szabli z pochwy. Giermkowie, sierżanci, a w końcu już nawet najprostszy mieszczanie próbowali sił swoich, ale wciąż napróżno.

To też śmiech ogólny powstał w tłumie, gdy do szabli przystąpiło dziecko. Był nim nikt inny, jak tylko przyprowadzony na mszę poranną przez Antora Artur, którego ojca nikt nie znał.

Biskup kazał umilknąć drwinom i dodał odwagi chłopięciu.

O dziwo! — mała rączka wyciągnęła szablę bez trudu, wywijając nią w powietrzu, niby oślepiającym piorunowym grotem.

Wówczas ukazał się Merlin, wyjaśniając znaczenie oręża. Był to miecz cudotwórczy, nosił miano „Eskalibora“ i został znaleziony na jednej z zaklętych wysp Oceanu, strzeżonych przez groźnego smoka. Ukryta w szponach drapieżnego orła na szczycie niedoścignionej góry, szabla zdawała się niemożliwą do zdobycia, bard jednak odpędził smoka i orła za pomocą dźwięków boskiej swej harfy.

Wtedy arcybiskup, schwyciwszy Artura na ręce, wśród uścisków ukazał go ludowi.

— Oto król wasz z woli Bożej.

A na to głuchy pomruk panów:

— Nie oddamy w ręce przybłądy rządów takiego państwa, jak Wielka Bretania. Kto jest ojcem dziecka?

— Wiedźcie — odparł Merlin — że dziecko to pochodzi z potężniejszego rodu, aniżeli każdy z nas, tu obecnych, a ojcostwo Antora polega na tem tylko, że go wykarmił. Jest on synem króla Uthera, ja sam zaś go wychowałem.

Wówczas rozległ się jednomyślny okrzyk na cześć króla, którego koronacya miała miejsce w jakiś czas później.

Wstąpiwszy na tron, Artur zamianował Merlina bardem królewskim.

Na co wieszcz-prorok nie chciał przystać za panowania innych królów, to uczynił teraz dla podniesienia chwały młodego władcy, któremu postanowił poświęcić życie: porzucił lasy swe ukochane i przeniósł się na dwór królewski.

Początki młodych rządów były niezwykle szczęśliwe. Przy pomocy Merlina Artur odniósł nad Saksunami wielkie i ostateczne zwycięstwo pod Argoedą. Bard walczył sam w tej bitwie przy boku króla, a gdy zwycięzcy weszli do stolicy Kaerlleonu, wyprawiono ucztę wspaniałą na cześć szczęśliwego przymierza boskiej harfy z szablą magiczną, których sława rozeszła się po świecie całym.

*

*

*

Wkrótce jednak uknuł się spisek pokątny przeciw królowi i nadwornemu bardowi.

W jakiś czas po zwycięstwie pod Argoedą Artur pojął za żonę córkę króla szkockiego, Leodogana, któ-

remu okazał pomoc wraz z rycerzami Okrągłego Stołu i Merlinem.

Piękna Ginewra, zachwycona wielkimi czynami tego, który tak dzielnie władał groźnym Eskaliborem, nie była w stanie ukryć uwielbienia swego i rzekła głośno:

— Jakże szczęśliwą będzie dama, o której względy pokusi się taki mężny rycerz i bodaj przepadła ta, która nim wzgardzi!

Artur ze swej strony również nie pozostał obojętny na wdzięki Ginewry, a król szkocki z radością i dumą przyjął oświadczyni władcy Bretanii, który ze sprzymierzeńca miał zostać zięciem jego.

Małżeństwo zostało zawarte wkrótce i należałoby do najszcześniejszych zapewne, gdyby nie obecność na dworze bretańskim siostrzeńca Artura, przewrotnego Mordreda.

Był to człowiek ambitny z duszą hypokryty. Kochał Ginewrę, lecz nad wszystko był zazdrosnym o tron.

Królowa dała się uwieść miłości młodego człowieka, który opanował ją wkrótce. Jedna istota krępowała ich tylko, bard Merlin mianowicie, który widział rzeczy potajemne i nie omieszkałby z pewnością przy pierwszej sposobności zawiadomić króla o zdradzie.

Mordred zatem postanowił usunąć go od dworu.

W tym celu użył podstępu.

Kochanek Ginewry słyszał, że w lasach Broce-liandy przebywa słynna czarodziejka, powziął zatem myśl użycia jej jako środka obudzenia zazdrości pro-roka-barda.

— Wyobraź sobie, zapewniano mnie — rzekł kiedyś wobec Merlina — że wróżka ta zna głębie tajemnic, nieprzeniknione dla nikogo, prócz niej. Po

siada zaklęcia, któremi ona sama tylko władać jest w stanie i chlubi się, że więcej ma wiedzy, aniżeli wszyscy bardowie razem zebrani...

— Jak imię jej? — spytał Merlin.

— Wiwiana.

— Dobrze — odparł bard królewski. — Odszukam ją i przekonam się, czy sztuka jej przewyższa moją.

Wkrótce potem Merlin dotarł, istotnie, do lasów Broceliandy i wszedł w cieniastą gęstwinę wiekowych dębów, którym podówczas oddawano cześć boską.

Błądząc, natrafił na źródło, szemrzące pod pieśczołą długich gałęzi olchowych, niby włosów wróżki, poruszanych cichym dreszczem. Stał, było to bowiem źródło zaklęć; rzuciwszy więc kamień w fale przeczyste, zawołał trzykrotnie:

— Wiwiano!

— Wiwiano!

— Wiwiano!

Nagle wichrem gwałtownym rozjęczał się las cały, niby jedna wielka lira; zakotłowały się wody krynicy, a z głębi ich powstał wielki kwiat cudowny.

Merlin zakreślił nad nim ręką znak tajemniczy.

Kwiat rozchylił się, a z otwartego kielicha wypłynęło promienne zjawisko. Była to Wiwiana w osłonach zieleni przejrzystej z wieńcem powojów na głowie.

Zręcznym ruchem usunęła fale włosów złocistych, by lepiej móżdż przyjrzeć się Merlinowi i oczarować go słodkim uśmiechem.

— Otóż jestem... Witaj! — Oczekiwałam ciebie... Czego życzysz sobie ode mnie?

— Chciałem dowiedzieć się — rzekł bard — czy prawda, że posiadasz czary, zaklęcia, nieznane mi zupełnie?

Wiwiana zaczęła się śmiać.

— Ach! — rzekła — że też dałeś się wprowadzić komuś w błąd aż do tego stopnia, ty, taki zazwyczaj przezorny i roztropny? — Ja miałabym prześcignąć wiedzę ciebie, barda nad bardami, wielkiego czarodzieja, ja, która jestem niczem więcej, jak tylko wróżką tej czystej krynicy? — Powiedz raczej, iż przyszedłeś z rozkazami dla mnie. Słucham. Co mam uczynić, by iść za wolą twoją?

Wiwiana mówiła to wszystko głosem, pełnym pieśczo-ty, a Merlin, który przyszedł tu z myślą, iż wypadnie mu zmierzyć się z groźną współzawodniczką, uczuł nagle zdziwienie i zachwyt wobec pokornych jej pochlebstw.

— Nie mam dla ciebie rozkazów — odpowiedział bard równie słodkim głosem... Dlaczego jednak wątpisz o władzy swojej, ty, taka promienna? — Kto-kolwiek zbliży się do ciebie, może przypuszczać istotnie czary jakieś, one bowiem tylko mogą zrodzić piękność, równą twojej...

— Piękność moja — to piękno drzew tych, których jestem duszą wibrującą. W chwili, gdy przecho- dzisz pod gałęzmi ich, drżały wszystkie ze szczęścia. Uśmiech mój to odblask ich radości. „Oto bard, bard wielki!“ — zdawał się mówić ze wzruszeniem la- cały. „Oto bard! — rozspiewa się boska jego harfa! — Wysłałam więc z wód krynicznych, by lepiej go usły- szyć i wpaść w wiecznotrwały zachwyt.

To powiedziawszy, Wiwiana podeszła do Merlin i powolnym, wdzięcznym ruchem zdjęła z ramion jeg- złotą harfę.

Bard odebrał ją od niej z uśmiechem, a w te- chwili rozedrgały się szmerem ciche struny.

— Przy tobie harfa moja śpiewa, jak gdyby we

szła w nią dusza mistyczna — rzekł prorok. — Kobieto, która odmawiasz sobie potęgi władzy magicznej: kto wie, może powinieniem oprzeć się twoim wdziękom? Co chcesz, abym śpiewał dla ciebie?

— Opowiedz mi o cudach trzech światów.

Merlin uderzył w struny. Nigdy czystsza melodia nie popłynęła z nich. Żaden śpiewak jeszcze nie uczuł w sobie źródła takiego natchnienia. Wiwiana zdawała się słuchać w ekstazie. Naraz, jakby bezopornie zwyciężona czarem tej nieopisaanej muzyki, oparła czoło o pierś barda.

A śpiew namaszczoney przeszedł wówczas w pieśń miłości, w hymn szalejącego roztkliwienia. Ostatni dźwięk skonał w krzyku namiętym i w pocałunku. Harfa osunęła się z rąk Merlina, ale w ramiona jego padła Wiwiana.

— Kocham ciebie — szeptał, cisnąc usta do jej ust.

Wieszczka nie odpowiadała, tonąc jakby w coraz większem omdleniu i zapamiętaniu.

... Gdy Merlin obudził się z upojenia, stanęła przed nim jedna z tych wizyi, które proroczy geniusz jego niósł mu tak często. Było to ostrzeżenie o wielkiem nieszczęściu, które miało zamącić mu życie.

Mimo odległości, ujrzał najwyraźniej zdradę na dworze króla; ujrzał przewrotnego Mordreda, jak wykrada Ginewrę i wraz z nią ucieka do Szkocyi; usłyszał bolesny i rozpaczliwy okrzyk króla Artura.

— „Merlinie, gdzie jesteś? — dlaczegoś mnie porzucił? — Twoja to nieobecność spowodowała nieszczęście na mnie! —“

Wówczas bard, zdjęty wyrzutem, napół przytomny z żalu, uciekł przez las, aby stanąć jak najprędzej przy tym, który go wzywał.

W pośpiechu zapomniał harfy, która została w rękach Wiwiany.

*

*

*

Przybywszy na dwór królewski, Merlin pociągnął za sobą Artura do Szkocyi, by zwalczyć Piktów i Szkotów, którzy przystali do stronnictwa Mordreda. Chodziło o ukaranie zbuntowanego młodzieńca i o wyrwanie z rąk jego Ginewry.

Bez złotej harfy jednak, która zagrzewała męstwo żołnierzy, bitwa skończyła się hańbiącą ucieczką.

Artur padł raniony śmiertelnie. Ciało jego i szabla zostały przeniesione na Awalon, wyspę zaczarowaną, którą zamieszkiwało dziewięć dziewic. One to miały opatrywać rany króla aż do chwili, w której z większą, aniżeli kiedykolwiek gorliwością wróci do walki, by wyprzeć ostatecznie z ziemi bretońskiej obcy żywioł

Niestety, porażka i zniknięcie króla nie były jedyną klęską.

Przygnębiony tyloma niepowodzeniami, których sprawcę widział sam w sobie, Merlin postradał zmysły.

Rozszalały, dziki, pobiegł do Wiwiany.

— Tyś mię zgubiła, przewrotna czarodziejko! — czemu zatrzymałaś harfę moją, bez której jestem niczem? — wołał.

— Zatrzymałam, by zwrócić ci ją, wiedziałam bowiem, iż przyjdzie dzień, w którym nie zostanie ci nic, prócz niej i mnie — odparła wróżka.

— Miłość twoja... gardzę nią, w twoich objęciach bowiem zapomniałem o obowiązku.

— W nich jednak tylko znajdziesz teraz pocieszenie.

I na nowo osnuła barda siecią umiejętnych swych pieaszczot.

— Ach!—zawołał, płacząc, jak bezsilne dziecko—
czyż nie wiesz, że Saksoni zabili króla mojego? —
Czyż nie wiesz, że arcybiskup Gildas napiętnował mnie
kłatwą publiczną; że tłum, zawsze podły w niepowo-
dzeniu, obrzucił mię kamieniami?

— Zapomnij, zapomnij o tem wszystkim! — Nie
zabijaj rozpaczą geniuszu swego.

— Geniusz mój zamarł już, niestety! — Jestem
niczem więcej, jak tylko nędznym cieniem Merlina.

— Dla mnie pozostałeś zawsze boskim prorokiem,
bardem natchnionym. Daj mi pierścień, który nosisz
na palcu, a, pełna dumy, zostanę twą małżonką.

Nagle przejrzała dusza Merlina.

— Kobieto, jakże źle cię sądziłem! — zawo-
łał. — Tyle współczucia jest w tobie! — Pierścienia je-
dnak nie dam ci, za jego pomocą bowiem mogłabyś mię
zakląć na wieczny sen zapomnienia, a ja chcąc pamiętać

— Więc wolisz zgubić mnie raczej?

Merlin nie odpowiedział.

Wróżka rozplakała się wówczas.

— A więc rozejdźmy się — rzekła. — Zanim o-
puścisz mnie jednak, napij się wody z tej krynicy,
której jestem wróżką. Ona to przywróci ci geniusz

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To tajemnica, której nie chciałam ci odsłonić
aż dopiero po otrzymaniu pierścienia zaręczynowego
od ciebie. Pijąc wodę ze źródła, które przywróci ci
rozum, wypijesz zarazem duszę moją. Kocham cię
jednak tak bardzo, iż chętnie poświęcę się dla uzdro-
wienia ciebie bez nadziei na jakąkolwiek nagrodę w
przyszłości.

Już złożyła obie dłonie, by zaczerpnąć wody kry-
nicznej, gdy, wzruszony takim dowodem czułości, bard

powstrzymał ją nagle. Wahał się chwilę, wkrótce jednak zapadło postanowienie.

— A więc dobrze, uwierzę ci — zawołał. — Pijąc tę wodę, odnajdę geniusz swój, ponieważ wypiję twą duszę. Zostań więc małżonką moją, ty, która masz mi przywrócić siłę, mądrość i nadzieję.

To mówiąc, zdjął pierścień złoty i włożył go na palec wróżki, a potem pochylił się nad źródłem wraz z Wiwianą, która obiema dłońmi zaczerpnęła wody i poniosła je do ust barda.

I gdy on pił chciwie, rozległ się jej szept, ciche wezwanie:

„Pij, Merlinie, pij wieczne zapomnienie, pij wodę, która uspi cię na zawsze w miłości mojej. Czemu zwracać ci geniusz? — Czasy bardów i wróżek miną wkrótce, lecz miłość nasza nie skończy się nigdy, gdyż dusze nasze, złączone, przejdą w nieśmiertelną duszę tego lasu. Pij, Merlinie, pij wieczyste zapomnienie i zejdź wraz ze mną w głąb tej krynicy, do której wrzuciłam harfę twoją. Nie wyjdziemy z niej, aż dopiero w dniu, w którym król Artur powróci z czarowanej wyspy, gdzie strzeże go dziewięć dziewic“.

VI.

Legenda o Żydzie wiecznym tułaczem.

Tłum wtargnął do pretoryum ze wściekłym krzykiem:

— Na Golgotę, na Golgotę! — Krzyż dla Jezusa, fałszywego proroka!

Z odsłoniętą głową, w białej tunice ukazał się Piłat na skraju galeryi. Błady był, patrzył niespokojnie.

— Czego chcecie ode mnie? — zawołał do narodu. — Badałem Jezusa wobec was i nie znalazłem nic grzesznego zarówno w czynach jego, jak i w nauczaniu. Odesłałem go do tetrarchy Heroda, który również nie dopatrzył się w nim winy. Ażeby was zadowolić, skazałem Nazarejczyka na mękę biczowania; wyście sami ukoronowali go cierniem i spoliczkowali i napluli mu w twarz. Jeżeli prawdą jest, że wzgardził prawami Mojżesza, to czyż nie dostateczna kara spotkała go za to?

Wrzaski wzmogły się.

— Nie, niechaj umiera: ukrzyżować go, ukrzyżować!

Piłat dał znak centuryonowi, by nakazał tłumom milczenie.

Dźwięk trąb rozbrzmiał ponad zgiełkiem i rykiem.

Prokonsul wychylił się z galeryi i rzucił z giestem gwałtownym:

— Odejdźcie stąd! — Nie mogę skazać niewinnego!

Wówczas wśród pomruku zbuntowanej tłuszczy rozległ się głos wielkiego kapłana, Kaifasza:

— Jezus jest przestępcą. Nazwał się w mojej obecności Synem Bożym, a ja rozdarłem szaty na takie bluźnierstwo. Nie na tem koniec jeszcze. Mianował się później królem żydowskim, a ktokolwiek przywłaszcza sobie tę godność, występuje przeciwko Cezarowi... Strzeż się, Piłacie! — Jeżeli uwolnisz tego człowieka, nie jesteś przyjacielem Cezara...

Na imię Cezara zadrżał wielkorządca rzymski.

W słowach arcykapłana brzmiała groźba: gotów był donieść o wszystkim Tyberyuszowi.

A jednak dla zaspokojenia narodu żydowskiego, którego nie cierpiał, nie był w stanie zdobyć się na ukaranie tego, w którym nawet Herod nie mógł dopatrzeć się winy.

Usiłował więc na nowo wybawić Jezusa.

— Słuchajcie — rzekł — oto nadchodzi dzień Wielkiej Nocy, kiedy zwyczaj nakazuje uwalniać skazanych na śmierć. Przyprowadźcie do mnie Jezusa, a jednocześnie przyprowadźcie także i łotra Barabasza. Sami osądzicie, którego z nich należy uwolnić: mordercę, złodzieja, czy też Nazarejczyka? —

— Wolności dla Barabasza! — Wolności dla Barabasza! — wył tłum, podbudzany przez kapłanów.

Jezus został wprowadzony pierwszy. Ukazał się między dwoma żołnierzami w czerwonym płaszczu na

plecach, a ciernicwej koronie na głowie, z berłem trzcinowem w prawej ręce, które mu nieść kazano, na drwiny. Oczyma, z których ciekły łzy krwawe, powiódł po tłumie, a w spojrzeniu Jego ponad bólem przebił wyraz cichego poddania i podniosłej potęgi zarazem.

Dreszcz przeszedł tych wszystkich, co go potępiali; najnikczemniejsi silili się na uśmiech.

— Ecce Homo! — rzekł Piłat drżącym ze współczucia głosem.

W tej samej chwili przyciągnęli liktorzy Barabasa, usiłującego stawić im opór.

— Żydzi! — podjął na nowo prokurator — oto przed wami ten, którego nazwaliście niedawno Pomazańcem Bożym. Okłamał was, być może, ale patrzcie, przy boku jego nędznik, którego przestępstwa liczne i dowiedzione. Skradł on ze świątyni poświęcane skrzynie, zdarł złotą blachę ze świętej arki, zabił pięciu żydów i dwóch rzymskich rycerzy. Który z tych dwóch wydaje się wam bardziej łaski godnym?

Wielkie wzburzenie poruszyło tłum. Wahali się najzawziętsi. Lecz tłuszcza ta to były po większej części najnędzniejsze męty społeczne Jerozolimy, gawieź, wśród której Barabasz miał dużo przyjaciół i spółników zbrodni.

Rozległ się więc głos ich, rozkazujący, groźny:

— Barabasz! — żądamy wolności dla Barabasa!

I nagle wszyscy obecni, jakby zdjęci strachem wobec tej zbójckiej gromady, zawołali jednomyślnie:

— Barabasz! — Barabasz! — Uwolnić Barabasa! — Chrystus niechaj zostanie ukrzyżowany!

Wówczas Piłat kazał przynieść srebrną miednicę, pełną wody.

— A więc niech się stanie! — rzekł. — Chrystus umrze, nie ja go jednak skazuję, lecz wy; umyłam ręce przed krwią niewinnego.

Wśród wrzawy, klątw i okrzyków niecnego zwycięstwa, zanurzył w wodzie ręce, które miały za chwilę podpisać wyrok nikczemny. Na jednej z nich błyszczał pierścień złoty, którym przypieczętowywał rozkazy Cezara.

*

*

*

Z pomiędzy tych wszystkich, co dążyli ku pochyłościom wzgórza Golgoty, by patrzeć na mękę Jezusa, wyróżniał się szczególnie jeden człowiek, biegnący szybciej od innych.

Był to Izaak Laquedem. Śpieszył z pretoryum. Należał do rządu tych, którzy wśród szału ogólnej nienawiści najgłośniej krzyczeli za wyrokiem śmierci na Syna Bożego.

Ponieważ dom jego położony był przy drodze, którą prowadzono skazanych na ukrzyżowanie ku wzgórzu Kalwaryi, śpieszył, rozradowany myślą, iż z progu mieszkania swego będzie mógł widzieć ponury orszak.

Był już blisko własnej zagrody, gdy spostrzegł żonę, która wybiegła na spotkanie jego, niespokojna o wyrok Piłata.

Izaak przystąpił do niej z ruchem ręki zwycięskim:

— Skazany! — Skazany!

Zamiast powitać radośnie tę wiadomość, małżonka jego zwiesiła głowę:

— Czemu nie cieszysz się wraz z innymi? — spytał żyd. — Czyż nie słusznie zawyrokowano śmierć na oszusta, mianującego się Synem Bożym? .

— A jeżeli głosił prawdę? — szepnęła kobieta.

— Syn Boży, on, który obcował tak chętnie ze sprośnym plugastwem, z włóczęgami, żebrakami i trędowatymi! — on, który opiekował się nierządnicami, wzywał je do siebie i odpuszczał im grzechy!... On, który zabraniał kamienowania cudzołożnic!

— Nakazywał przecież litość, więc sam dawał jej przykład, a nie robił nic takiego, coby czyniło go niebezpiecznym. . .

— Co, ty śmiesz bronić tego, który twierdzi, że uczeni i mędrzy to hypokryci... tego, który nazwał świątynię jaskinią złodziei i wygnał z niej kupców, braci naszych, a zarazem dowodził, że zostanie zburzoną i odbudowaną jego własnymi rękami w ciągu trzech dni!... Śmiesz bronić tego, który woła: „Biada Jeruzalem!“

— Nie bronię go... lecz... co do mnie... nie byłabym go skazała...

— Twoje słowa są jednym dowodem więcej na korzyść słuszności, z jaką żądaliśmy wyroku śmierci na tego człowieka, który nie był niczem więcej, jak tylko czarodziejem, wywierającym wpływ nadewszystko na łatwowierne dusze kobiece... Klaudia, małżonka Piłata, była też za nim... Gdyby nie groźby nasze, prokonsul byłby go wybawił... Uparliśmy się jednak i sprawiedliwość przy nas... Za chwilę przejdzie tędy ten prorok fałszywy z krzyżem na ramionach: zobaczysz, czy będzie w stanie stworzyć cud, któryby mu zapewnił wolność.

— Nie, nie zobaczę!... Wejdę do domu i zamknę okna, by nie patrzeć, jak prowadzą na mękę tego, co głosił tylko słowa miłości... Tyłu nieszczęśliwych, prowadzonych na Golgotę, widziałam już zresztą! — Wszak dom nasz na drodze do tego ponurego, nagie-

go wzgórza, gdzie, zamiast drzew, sterczą szubienice, a zamiast żwiru bieleją kości ludzkie! — Chodź ze mną, Izaaku, nie stój przed drzwiami... Czuję, że ci to przyniesie nieszczęście...

— Przeciwnie, zostanę. Chcę widzieć, z jaką miną podejdzie do tronu Golgoty ten, który chciał zostać królem żydowskim! — Co za czeza trwoga owładnęła tobą? — Nie rozumiem, czemu miałbym drzeć przed szalbierzem, który umrze, jak łotr, gdyż jest nim właściwie, ponieważ skradł wszelkie możliwe godności, by przybrać się niemi i ciągnąć za ich pomocą ku sobie słabe, lękliwe dusze... Słuchaj, nie masz się już co bać dzisiaj człowieka, który usiłował nas przerazić domniemalnymi cudami swymi... Wszyscy ci, co z nim trzymali, już go porzucili. Jeden z apostołów sam go zdradził, drugi wyparł go się, reszta poukrywana w jakichś pieczarach... Skończyło się już królestwo tak zwanego Syna Bożego!... a ten, co przywłaszczał sobie tę chwałę, nie jest potężniejszym w tej chwili od złodziei, pomiędzy którymi zostanie ukrzyżowany.

— Strzeż się, Izaaku, strzeż! — To podle znieważać tak męczennika!

— Nie chodzi tu o męczeństwo, lecz o pokutę. Wejdz jednak do domu, skoro chcesz: bezmyślne twe współczucie zmaciłoby mi tylko radość moją. Sądzę, że przygotujesz mi tego wieczora wspaniałą ucztę, na którą zaproszę kilku przyjaciół. Pragnę w ich gronie obchodzić święto śmierci Jezusa Nazarejskiego, fałszywego Mesyasza i wychylić wraz z nimi na tę cześć niezliczoną ilość puharów z winem Karmelu! —

Pchnąwszy żonę do wnętrza domu, pozostał sam przed drzwiami.

Rosnąca wrzawa zwiastowała już nadejście orszaku, prowadzącego Jezusa na miejsce męki.

Ażeby więcej zobaczyć, Izaak Laquedem wszedł na kamienną ławkę pod murem swego domu, zarosniętym liśćmi wina.

Ponad zgiełkliwym i rosącym wciąż tłumem dostrzegł stąd coś jakby migotanie błyskawic. Były to lśniące w słońcu kaski, lance i tarcze dwudziestu ośmiu jeźdźców, tworzących konwój skazanych na męki Kalwaryi.

Nagle stanął tłum i żołnierze na rogu jakiegoś placu. Rozległ się dźwięk trąby.

Izaak usłyszał donośny głos herolda, odczytującego wyrok, wydany przez prokuratora:

Jesum Nazareum, subversoram gentis, contemptorem Caesari falssum chessiam, ut majorum suae gentis testimonio probatum est, ducite ad communis supplicii locum, et cum in ludibriis regiae majestatis, in medio duorum latronum cruci affigite.

Poczem orszak ruszył, powiększony przez tych wszystkich, których przyciągnął głos herolda.

Wkrótce jednak przeszło po tłumie nagłe wstrząśnienie, które zatrzymało go znowu. Wrzawa, drwiny — obelgi tłuszczy i nieporządek, jaki zapanował przez chwilę w konwoju żołnierzy, kazały przypuszczać Laquedemowi, iż Nazarejczyk upadł pod ciężarem krzyża.

I usta jego w tej chwili wykrzywiły się dzikim śmiechem.

Wtem przywrócono porządek; orszak był już za ledwie o kilka kroków od Laquedema.

Wówczas pośród jeźdźców i katów, niosących sznury, motły i gwoździe, Izaak mógł zauważyć człowieka, który chwiał się co krok pod ciężarem olbrzy-

miego krzyża, kaleczącego mu ramieniem swoim prawą łopatkę. Z czoła męczennika, uwieńczonego cierniem, ściekały grube krople krwi i potu, znacząc drogę, którą szedł, drobnymi czerwonymi centkami. Zdawało się, że padnie lada chwila: tak mozolnym był każdy ruch jego, a ciało zdawało się zmożone umęczeniem. Za każdym wysiłkiem pierś jego dyszała chrapliwie, ilekroć jednak chciał przystanąć, żołnierze popychali go lancami, a skazaniec wyprostowywał się bez skargi, wodząc po tłumie, uderzającym co chwila w śmiech okrutny, słodkim blaskiem swych oczu, tych oczu, które, wbrew cielesnym udręczeniom, żyły dziwnym jakimś życiem, jak gdyby cała boska dusza rwała się z nich, promienna, roztaczając światło miłosierdzia i błogosławieństwa nad katami swymi.

Tym człowiekiem był Jezus, aby zaś nikt nie wątpił o tem, wyprzedzał go liktor, niosąc na końcu piki napis szyderyczy:

Jezus Nazarejski, król żydowski.

Przeczytawszy go, Izaak wybuchnął dzikim, urągliwym śmiechem.

— Bądź pozdrowiony, królu żydowski — zawołał — ty, którego czcili tylko niewolnicy, naprawiacze sieci, upadłe kobiety i ci, co obracają żarna w młyńnie... Ha, ha, ha! — Czemuż nie przybywają poddani twoi, by cię oswobodzić? — I czemu archaniołowie Boga, Ojca twego, nie spadli na ziemię, by ognistymi mieczami odpędzić katów twoich?

Jezus zwrócił spojrzenie w stronę tego, który go lżył.

— Izaaku — rzekł — czuję pragnienie: daj mi trochę wody z twojej studni...

— Studnia moja pusta — odparł żyd z nowym wybuchem szyderyczego śmiechu,

— Izaakowi Laquedem, nie mogę już utrzymać się na nogach: pomóż mi dźwigać krzyż.

— Nie jestem twoim wyrobnikiem: wezwij kogo z apostołów twoich...

— Pozwól mi przynajmniej spocząć na ławce twojej.

— Żeby przestało nieść owoc wino, rozpostarte nad nią?

— Więc przynieś mi stołek z domu swego.

— Nie, musiałbym go bowiem spalić, gdybyś usiadł na nim.

— Gdybym na nim usiadł, byłby dla ciebie złotym stołkiem w domu ojca mojego... Izaakowi, Izaakowi, zlituj się nade mną!

I Jezus postąpił ku niemu krok jeden.

Wówczas Żyd odepchnął go wściekłym ruchem:

— Precz, oszuście, usuń się przed moim cieniem!

— Nie kalaj mnie dotknięciem. Idź na Golgotę, idź, idź!

Mesyasz jednak wyprostował się. Po raz pierwszy zabłysły mu w oczach światła złowrogie.

— Nie ja, lecz ty pójdziesz i chodzić już będziesz wiecznie, człowieku bez czucia!... Bądź przeklęty!

— Włóczyć się będziesz po wszystkich drogach aż do dnia, w którym na rozkaz Ojca mojego wybije godzina Sądu Ostatecznego. Idź, nieszczęsny, idź obnosić po świecie rozpacz swoją i udręczenie! Ty, który mogłeś poznać prawdę wiekiście i przyczynić się do przyszłej mej chwały, podnosząc wraz ze mną krzyż mój męczeński, teraz nie zaznasz nic, prócz wiekiściej hańby!

— Ja mam przed sobą zaledwie kilka kroków, aby złożyć ciężar mój, ty go jednak podejmiesz z chwilą, w której spadnie z ramion moich. Iść będziesz, zgięty i bardziej znużony, aniżeli ja w chwili, w której od-

traciłeś mię od siebie. I nigdy brzemie jego nie spadnie z ramion twoich, nigdy, słyszysz, mimo umęczenia i bólu, gdyż nie umrzesz nigdy: skazuję cię na życie wieczne... Nie usiłuj wybuchać na nowo drwiącym śmiechem, gdyż odtąd niema radości dla ciebie. Piętnuję czoło twoje, Izaaku Laquedemię, niezatartym stygmatem. Zostaniesz Żydem wiecznym tułaczem. A ponieważ ja nie zaznałem litości od ciebie, ty nie zaznasz jej również od ludzi. Po mojej śmierci dopiero przyjdzie królestwo moje i stanie się zrozumiałem słowo moje... Idź, weź kij twój podróźny, chodź z miasta do miasta, by patrzeć na przyszłą chwałę moją i na walące się świątynie, poświęcone czci fałszywych bożków i na powstające z rumowiska ich przybytki prawdy, którą objawiłem, a która stamtąd rozjedzie się po świecie. Idź, idź, a jeżeli opóźnisz godzinę tułactwa swego, ci, co lżą mię dzisiaj, zwrócą się przeciwko tobie i wypędzą cię jutro gradem kamieni... Idź, idź, szukaj po świecie mogiły, której nie znajdziesz!...

*

*

*

Orszak przeszedł już od dosyć dawna, a Izaak Laquedem stał wciąż oparty o drzwi swego domu i jakby spiorunowany klątwą Jezusa. Dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem; błędne oczy rozwarły się szeroko, jak gdyby pod grozą ponurego jakiegoś widziadła. Piętno hańbiącej sromoty, jakie padło na niego z ust męczennika, obudziło popłoch. Spostrzegł, jak zadrżeli kaci, jak pochowali się za puklerzami swymi żołnierze, usłyszał, jak zarżały przerażone konie. Bezwiednym ruchem, jakby pchnięty nieprzewartą mocą wyższego jakiegoś rozkazu, tłum usunął się nagle od niego z wyrazem ohydy.

Chciał opamiętać się, przyjść do siebie, zrobił ruch, aby wejść do domu, drzwi mieszkania jednak były zamknięte i, mimo wysiłków, nie mógł odsunąć zawiasów.

— Żono, żono, otwórz mi! — zawołał głosem człowieka, który chce umknąć przed niebezpieczeństwem.

Wołanie to zostało jednak bez odpowiedzi.

Zrozumiał więc, że klątwa Jezusa została spełnioną; zrozumiał, że nie istniało już dlań domowe ognisko. Czując dziwne drżenie nóg pod grozą rosnącego wciąż strachu, chciał usiąść na kamiennej ławce, tej samej, od której odtrącił Jezusa w chwili, gdy szukał spoczynku; ławka jednak zniknęła.

W uszach jego nad mętным szumem przedarł się nagle głos rozkazujący: „Idź, idź!”

Jak człowiek pijany, który stracił moc panowania nad czynami swymi, podążył drżącym krokiem ku drodze, prowadzącej na wzgórze Kalwaryi. Zdawało mu się, że, jak Nazarejczyk, giąć musi ramiona pod ciężkim krzyżem: tak był zmęczony i przybity; zdawało mu się, że czoło jego przerzyna wieniec cierniowy i że twarz, oczy pełne ma krwi. W tych samych miejscach, na których upadał Jezus, dążąc do pola kaźni swojej, i on upadał, a kolana jego pełne były ran.

Wstąpiwszy na szczyt Kalwaryi, spostrzegł trzy strzelające w niebo ponure krzyże. Na jednym z nich rozpięty był ten, który go przeklął. Ręce i stopy przybite miał olbrzymimi gwoździami. Chrapliwy oddech przedśmiertny podnosił mu biodra i piersi. Izaak dosłyszał ostatnie słowa konającego: „Stało się! —“ i wyprostował nagle zgięte ramiona.

Ten, który go przeklął na wieki, ten, ukrzyżo-

wany, skonał; z nim razem skonał i groźny wyrok. Czyż mógł obawiać się istoty, dla której wyzwolenia niebo nie zesłało cudu? — Istoty, która skończyła tak samo nędznie, jak dwaj skazani jednocześnie łożotowie?

Z okrzykiem nienawistnego zwycięstwa i z pełnem pogardy spojrzeniem, rzuconem na trupa w wieńcu cierniowym, zamierzał wrócić do domu, otworzyć drzwi choćby przemocą, aby tego wieczora jeszcze ucziść wraz z przyjaciółmi śmierć Nazarejczyka.

Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, by zejść z Kalwaryi, gdy nagle noc ciemna zapadła dokoła, zerwał się wicher gwałtowny i, rozwiawszy fałdy płaszcza, zawrócił go z drogi.

Izaak Laquedem bronił się rozpaczliwie.

Już zdołał postąpić krok jeden w poprzednim kierunku, gdy nagle olbrzymia błyskawica przeszła ciemności i piorun padł tuż przed nim z hukiem przeraźliwym.

Cofnął się wówczas, napół przytomny, a oczy jego spotkały znowu krzyż, na którym skonał Jezus.

Co za cud! — Krzyż ten nie był już narzędziem hańbiącej kary. Ponad mrokiem i deszczem popiołu, unoszącym się nad Jerozolimą, on jeden tylko promieniał oślepiającą, nieziemską jasnością, ognisko jedyne blasku, z którego glob ziemski miał czerpać odtąd potoki światła. Izaak Laquedem wyciągnął ku niemu ramiona, bezwiednie, jak człowiek szalony, który nagle wśród groźnej nocy ujrzał promień jutrzeńki. Powstała w nim nagła świadomość grzechu. Zrozumiał, że na krzyżu tym, zwycięskim w pomroce, zmarł naprawdę Syn Boży. Zrozumiał, że byłby odgadł Mesyasa, gdyby nie upadł sercem tak nisko. Zrozumiał, że należał do rzędu tych, co skazali na śmierć Zbawiciela ludzkości i, najnikczemniejszy, najbardziej bezlitosny z po-

między nich, lżył go w godzinę skonu, w godzinę, w której boski męczennik obiecywał mu krzesło złote w królestwie Ojca swego wzamian za chwilę wypoczynku przed drzwiami zamkniętego domu. I zrozumiał, że ciężkim krzyżem, który Jezus kazał dźwigać mu po wsze czasy, był wiecznotrwały wyrzut.

Nadzieja zdobycia przebaczenia ożywiła go przez chwilę.

Więc kiedy rzucili się do ucieczki żołnierze, prze-
razeni hukiem nawałnicy i tą mściwą jasnością, która
biła od krzyża męczennika, kiedy mężczyźni i kobiety
w trwożliwym popłochu zawracali ku Jeruzalem, przy-
słaniając twarze płaszczami, — Izaak Laquedem chciał
paść u stóp martwego Jezusa.

W tej chwili jednak gwałtowne wstrząśnienie po-
ruszyło ziemię; zdala w słupach ognia zdawała się
zapadać świątynia, a huk ponury rozdarł wnętrze globu.
Rozstały się skały nagiego wzgórza Kalwarji; zgrzyt
nacierających na siebie szkieletów przeszył powietrze.

Gdy Laquedem chciał paść krzyżem u stóp Zba-
wiciela, by błagać go o miłosierdzie, uczuł nagle ręce,
odrzucające go w tył z zajadłą wściekłością.

— Precz stąd, nędzniku, precz jak najdalej! —
krzyczała głosem przeraźliwym armia widziadeł, wy-
rosłych nagle z rozpadlin skał.

— Kto jesteście wy, którzy wzbraniacie mi na-
dziei na przebaczenie? — spytał Izaak.

— Jesteśmy skazańcami, których ciała od wieków
rzucane były w otchłanie mogilne; wydała na nas
wyrok sprawiedliwość ludzka, a odkupuje nas dzisiaj
sprawiedliwość boska, Bóg, który umarł bowiem za
nas, jest Bogiem miłosierdzia.

— A więc dlaczegóżby i mnie nie miał udzielić
przebaczenia?

— Gdyż, pomimo grzechów naszych, jesteśmy mniej występni od ciebie, bowiem jeżeli krzywdziliśmy bliźniego, to tylko dlatego, że należeliśmy do wydziedziczonych; jeżeli kradzież pokalała nam ręce, to z winy bogaczy, którzy zabrali nam część naszą; jeżeli zabijaliśmy, to z głodu jedynie... Dusze nasze pełne były buntu, lecz podłość i nienawiść nie powstały w nas nigdy, jak w tobie; i gdybyśmy byli posiadali dom własny, a Jezus, dźwigając krzyż, zażądał w nim spoczynku, nie odtrącilibyśmy, jak ty, tego, co powiedział: „Kochajcie się wzajemnie! —“

Tak mówiły cienie tych, których na śmierć skazała sprawiedliwość ludzka.

I, rzuciwszy się na Izaaka, powlokły go przez most nad doliną trupów aż ku bramie Sądowej i, gnając go długi czas po drodze, powtarzały nieubłagany wyrok Jezusa:

— Idź, idź!...

... A ptaki nocne i jastrzębie mknęły za tułaczem tam, dokąd szedł... na Zachód... tworząc orszak ponury.

Czy nie zasłużyliśmy na zarzut, że, zamiast powtórzyć wiernie powyższą legendę, udramatyzowaliśmy ją, dając w tej formie jej wyjaśnienie?

— Co prawda, niepodobieństwem było oprzeć opowiadanie nasze na starożytnych jakich dowodach o niezaprzeczalnej wiarogodności. Podanie o Żydzie wiecznym tułaczem nie istnieje ani w Ewangeliach zarówno kanonicznej, jak i apokryficznej, ani w Aktach Apostołów, ani w dziełach z dziedziny patrologii. Zawiera je pewna pieśń żałobna, której treścią jednak raczej przygody Żyda wiecznego tułacza od chwili, kiedy został wygna-

ny z Jerozolimy, aniżeli klątwa, jaka nań padła. Wydało nam się słuszniejszym przedstawić przyczynę tej klątwy, aniżeli odtwarzać ponownie przygody poczytnego bohatera, który nie miał przy sobie nigdy więcej nad pięć groszy. Na wszelki wypadek, chcąc naprawić błąd w razie, jeżeli popełniliśmy go, podajemy treść tej pieśni, tak drogiej handlarzom obrazków z miasteczka Epinalu.

Pieśń żałosna o Żydzie wiecznym tułaczem.

1-szy kuplet. Czy może być coś bardziej wzruszającego na świecie nad nędzę Żyda wiecznego tułacza? Nieszczęsna i smutna jego dola!

2) Pewnego dnia w bliskości miasta Brukselli w Brabancji przystąpili doń w przejściu dwaj uprzejmi obywntele. Nigdy jeszcze nie widzieli człowieka z tak długą brodą.

3) Brzydkie jego i bezładne ubranie kazało im przypuszczać, że był to ktoś zupełnie obcy. Jak robotnik, miał fartuch na sobie.

4) Powiedzieli mu: „Dzień dobry, panie! Zostań z nami przez chwilę! Z łaski, nie odmów nam tego; zechciej zwolnić kroki swoje.

5) Panowie, dowiedzcie się o nieszczęściu mojem: nigdy nie wolno mi stanąć ani tu, ani gdziekolwiek. Czy ładnie na świecie, czy brzydko, iść muszę wciąż, bez przerwy.

6) Wejść do tej karczmy, czcigodny starcze! Piwem świeżym z beczki podzielimy się z tobą, jak można najlepiej.

7) Chętnie przyjąłbym od was dwa łyki, nie mogę jednak usiąść: stać muszę. Dobroć wasza zawstydzła mię naprawdę.

8) Ciekawość nas bierze poznać wiek twój. Z twarzy wydajsz się bardzo stary: masz zapewne lat sto lub coś koło tego.

9) Starość moja zawadza mi: mam już przeszło lat tysiąc

sześćset, a nie doliczam dwunastu, które skonczyłem, gdy narodził się Chrystus.

10) Czy nie jesteś człowiekiem, o którym tyle się mówi? Tym, którego Pismo Święte zwie Żydem wiecznym tułaczem? Powiedz nam z łaski, czyś ty nim napewno?

11) Izaak Laquedem nazwisko moje, zrodzony w słynnym mieście Jeruzalem. Tak moje dzieci, jam to, ja Żyd wieczny tułacz.

12) Nieba sprawiedliwe, jakże ciężki dla mnie ten ruch wieczny! Obchodzę już po raz piąty cały świat dokoła. Każdy umiera, gdy przyjdzie kolej na niego, a ja żyć muszę wiecznie.

13) Mijam morza, rzeki, strumienie, lasy, pustynie, góry, pagórki, płaszczyny, doliny: niema złych dróg dla mnie.

14) Widziałem w Europie a także w Azji bitwy i utarczki, które kosztowały nie jedno życie. Mijałem je niezraniony nigdy.

15) W Ameryce i w Afryce patrzyłem na wielki pomór: prawda to najoczywistsza, śmierć jednak nie dotyka mnie, przestrzegam to jasno.

16) Nie mam żadnych środków utrzymania, ani domu, ani dóbr innych—pięć groszy w woreczku oto jedyne zasoby moje. Wszędzie, na każdym miejscu tyle posiadam tylko.

17) Uważaliśmy za zmyślenie, za kłamstwo wszystko to, co opowiadano o udreczeniach i ciężkich zadaniach twoich. Dziś dopiero poznajemy omyłkę naszą.

18) Musiałeś popełnić wielki jakiś grzech, skoro Bóg miły tak bardzo cię dotknął? Opowiedz nam skąd padła ta kara?

19) Okrutna zuchwałość stała się przyczyną nieszczęścia mojego. O, jakże byłbym szczęśliwy, gdyby zmazano tę winę ze mnie!—Zbyt szorstko zachowałem się względem Zbawiciela swego.

20) Idąc pod krzyżem na Kalwaryę i mijając dom mój, Jezus spytał mię łagodnie: „Czy pozwolisz, przyjacielu, abym spoczął tutaj?”

21) Odpowiedziałem mu z buntem, bezmyślnie i brutalnie: „Precz od mego domu, przestępcu; idź okrywasz mię hańbą“.

22) Jezus, dobroć uosobiona, odparł z westchnieniem: „Ty to chodzić będziesz przez tysiące lat, aż Sąd ostateczny przerwie twoją mękę.

23) Więc w tej samej chwili, bardzo zasmucony, wyszedłem od siebie. Pełen najwyższego bólu, puściłem się w drogę. Dniem i nocą chodzę odtąd bez przerwy.

24) Panowie czas nagli, żegnam was, dzięki za uprzejmość waszą, lecz zbyt wiele udręczeń czeka mię gdy staję.

Pieśń ta została wydrukowana po raz pierwszy w Bordeaux w 1609 roku. Zawarta w niej legenda zdaje się pochodzić z tychże czasów, w 1602 roku bowiem zostało wydane jakieś pisemko niemieckie, zawierające opowiadanie biskupa szlewizkiego, Pawła Eitzen, który twierdzi, iż spotkał Ahaswera (inne imię Izaaka Laquedema) w Hamburgu w 1542 r.

Opowiada on, że, skończywszy naukę w Witemberdze i wróciwszy w 1547 r. do Hamburga, gdzie miał rodziców, udał się następnej niedzieli zaraz do kościoła i tam podczas kazania zauważył wysokiego człowieka o długich, spadających na ramiona włosach. Stał boso, naprost kazalnicy i z wielkim skupieniem słuchał głosu kapłana; za każdym razem zaś gdy zostało wymówione imię Jezus, pochylał się nisko bardzo z wielką pokorą, bił w piersi i wzdychał. Mimo ciężkiej zimy, miał na sobie tylko spodnie, mocno podarte u dołu i długi aż po same kostki kaftan, przepasany w pasie. Wyglądał na lat pięćdziesiąt. Kilka osób, które były w kościele jednocześnie, przypomniały sobie, iż widziały go w Anglii, Francyi, Włoszech, Persyi, Hiszpanii, Polsce, Rosyi, Liwonii, Szwecyi, Danii, Szkocyi i wielu innych miejscowościach... Przystąpiwszy doń po skończonem kazaniu, Paweł Eitzen zapytał go, kim jest i odkąd przebywa w Hamburgu? — Na co odpo-

wiedział bardzo skromnie, że urodził się żydem, ma na imię Ahaswer, z zawodu jest szewcem, że sam we własnej swej osobie był świadkiem ukrzyżowania i śmierci Chrystusa, żyje jednak dotąd i przebiegł już masę najróżniejszych krajów, na poparcie zaś słów swoich przytoczył mnóstwo okoliczności, dotyczących męki Pana Najwyższego... Został zarzucony następnie szeregiem pytań przez osoby uczone, które wprowadził w zdumienie opowieścią o tem, co działo się na Wschodzie po ukrzyżowaniu Syna Bożego... W obejściu swem dziwnie był spokojny i ostrożny; mówił mało i tylko w odpowiedziach na pytania; gdy zaproszono go na obiad, jadł niewiele i skromnie; zawsze się śpieszy i nigdy nie zostaje długo w jednym i tem samym miejscu. W Hamburgu, Gdańsku i innych miastach dawano mu pieniądze, nie przyjął jednak ani razu więcej nad dwa eskaliny*), które natychmiast rozdał między biednych, twierdząc, iż sam dla siebie nie potrzebuje, Bóg bowiem pamięta o nim od chwili, w której okazał żal za grzechy i przebaczy mu niewątpliwie to, co popełnił przez nieświadomość. Przez cały czas, który spędził w Hamburgu i Gdańsku, nie widziano go śmiejącego się ani razu. Do jakiegokolwiek kraju przybył, mówił panującym tam językiem. Z bardzo wielu dalszych i bliższych okolic zjeżdżali się ludzie do Hamburga, by go zobaczyć. Nie mógł słuchać bluźnierstw ani zaklęć na mękę Chrystusa; oburzał się wówczas, pełen gorczy.

Żyd wieczny tułacz widziany był nietylko w Niemczech, jak tego dowodem opowiadanie powyższe, i w Brukselli, na co wskazuje słynna owa pieśń żałosna,

*) Moneta niderlandzka około 36 gr. polskich.

(Przyp. tłum.).

którą podaliśmy w streszczeniu. Spotykamy prócz tego jeszcze nazwiska dwóch posłów holsztyńskich, którzy spostrzegli go jakoby w Madrycie w 1575 r. Dwie inne osobistości zetknęły się z nim podobno w Wiedniu w 1593 i w Lubece w 1601 r. Znane są prócz tego opowiadania mnóstwa innych świadków o ukazaniu się tajemniczej tej istoty w Krakowie, Liwonii i Moskwie.

Zaginione opowieści przodków naszych jednak nie byłyby przyczyniły się do uwiecznienia legendy, gdyby w pomoc nie przyszła im owa popularna pieśń żalonna z 1609 r., a także i późniejszy utwór Bérenger'a.

Kilku innych autorów jeszcze usiłowało przetworzyć podanie w miarę siły geniuszów swoich.

Marzył o tem i Goethe, chcąc zrobić z Ahaswera coś na wzór Fausta. W 1774 rzucił plan wielkiej epepei, opartej na dziejach Żyda wiecznego tułacza. Wkrótce jednak porzucił ten zamiar. Notatki jego każą nam zresztą przypuszczać, iż nie zgłębiał ducha tradycyi, lecz w rozwinięciu tematu byłby szedł torem aż nadto nowożytnym.

Inny poeta niemiecki, Schubart, podjął również epepeę, której Izaak Laquedem miał być bohaterem, ale tak samo nie doprowadził postanowienia do skutku. Został tylko po nim urywek liryczny, złożony ze stu wierszy wielkiej piękności, gdzie opisane są próżne wysiłki Ahaswera, dążącego do przerwania nędznego swego żywota.

Edgar Quinet odważył się na dzieło, nie doprowadzone do skutku przez poprzedników swoich, i zostawił dramat zawrotny, coś w rodzaju misteryi, pełen wspaniałej podniosłości i genialnych miejscami przybły-sków, jakkolwiek całość wogóle przeładowana dyty-rambami. Mimo tej wady, wrażenie utworu, osnutego na dziejach Ahaswera, potężne; bije, przelewa się z

niego za brzegi poezya, tak że trudno byłoby komukolwiek prześcignąć tę pracę.

Nie możemy tutaj pominąć także i kompilacyi pocziwego Aleksandra Dumas'a ojca, który, nie zawahawszy się przed niczem, podjął romans, zakazany, niewiadomo czemu, za czasów Cesarstwa i noszący tytuł: „Izaak Laquedem“. Ten sam temat posłużył również Eugeniuszowi Sue, który pod tytułem „Żyd wieczny tułacz“ zostawił powieść, wymierzoną przeciw Jezuitom.

VII.

Legenda o Fauście.

Działo się około roku 1530. Karol V. bawił podówczas wraz z dworem swoim w Insbruku. Miasto jednak zdawało się przejęte nietyle jego obecnością, ile równoczesnym pobytem niezwykłego czarnoksiężnika, dokonywającego rzeczy nadprzyrodzonych.

Dziwny ten człowiek, który nie lękał się nazwy czarownika w chwili, w której duchowieństwo skazywało na stos całopalny tysiące czarodziei obojej płci, — tytułował się z przesadną napuszonnością: *Philosophus philosophorum*, doktorem teologii, filozofii, nekromancyi, astrologii, fizyognomistyki, hieromancyi, agromancyi, piromancyi... i całej masy innych nauk. Widywano go zawsze w towarzystwie sługi, człowieka o twarzy chytrej, gotowego odważyć się na wszystko; do orszaku należał również koń i pies bardzo uczony. Pies ten, zwłaszcza, olbrzymi i czarny, zwany „*Prestigiariusem*“, budził postrach ogólny, uchodząc za wcielenie dyabła.

W tym okresie zabobonów i terroryzmu religijnego wiara w magię była powszechną. Nikt nie wątpił o

władzy napojów miłosnych, uroków, ziela itp., jednym słowem o sztuce i działaniu czarodziejskich zaklęć. Bardzo łatwo było można dobić się majątku przepowiadaniem przyszłych losów, sprzedawaniem eliksirów długowieczności, wskazywaniem skarbów ukrytych. Jakże potężnie działać musiał na wyobraźnię tłumów czarodziej, zapewniający z jak największą stanowczością, że jest w stanie odtworzyć nietylko wszystkie cuda Chrystusa, ale i wiele innych jeszcze...

Taką władzę przypisywał sobie Jan Faust, niezrównany czarnoksiężnik.

I w samej rzeczy, z chwilą przyjazdu swego do Insbruku człowiek ten usprawiedliwił w zupełności niezwykle rozgłos, który go wyprzedził.

Do cudów, przypisywanych mu, a o których opowiadano nawet Karolowi V., należało usuwanie chorób nieuleczalnych, fantastyczne wywoływanie duchów i inne nadzwyczajności różnego rodzaju.

Powtarzano naprzykład, że w uniwersytecie Erfurckim wobec uczniów wywołał bohaterów Homera. Niezwykłą grozę obudziło ukazanie się Polifema z długą rudą brodą, ogromną pałką w ręku i dwiema niedojedzonemi ludzkiemi nogami w ustach, cyklop bowiem, węsząc tyle ciała świeżego, nie zamierzał bynajmniej wrócić do krainy cieniów. W tem samym mieście również wygrał zakład, że na jego zaklęcie wóz, pełen siana, zaprzężony w dwa wielkie konie, przejedzie przez ciasną uliczkę, w której zmieścić się mógł za ledwie jeden piechur. — W Wenecyi widziano go, jak fruwał po nad dachami domów. — Na dworze księżnej Anahalckiej zachwycił gości jej niezwykle czarami przez wdzięczność za uprzejme przyjęcie, jakiego doznał. Księżna, będąca podówczas w stanie poważnym, miała chęć na owoce, których nie można było dostać

z powodu srogiej zimy. Chcąc zaspokoić jej życzenie, Faust wysłał po nie służącego swego do krajów południowych, a kilka godzin zaledwie starczyło, by posel wrócił, spełniwszy zlecenie. Następnie wyprawił ucztę niezrównaną w złudnym pałacu, wywołanym nagle, dzięki arkanom wiedzy magicznej i rozwianym we mgłę o świcie.

Słyszając o tych wielkich cudach, Karol V., bardzo zabobonny z natury, powziął wielką nieufność do czarnoksiężnika i wydał rozkaz zaareztowania go. Kilka razy jednak, gdy łucznicy już niemal kładli ręce na nim, Faust znikał nagle. Cesarz powiedział sobie wówczas, że istotnie w tym człowieku musiało być coś nadziemskiego i, zamiast ścigać go nadal, postanowił kazać mu przyjść na dwór swój.

Faust stanął przed Karolem V bez najmniejszej obawy i oddał się cały na usługi cesarza. Ten zażądał wywołania Aleksandra Wielkiego i żony jego, takich, jakimi byli za życia.

— Zadosyćczynię życzeniu Jego cesarskiej Mości, muszę uprzedzić jednak, że ziemskie powłoki dwóch tych istot nie mogą zmartwychwstać z pośród umarłych, ani też ukazać się w waszej obecności. Inna rzecz jest do zrobienia jednak: duchy starożytnych, którzy widzieli Aleksandra wraz z małżonką jego, są w stanie przywdziać ich kształty i wejść w nich. Za ich pomocą ukazę Aleksandra. Niechaj Wasza cesarska Mość pozwoli mi spędzić kilka chwil w skupieniu i na osobności, abym mógł narodzić się ze swym duchem opiekuńczym.

Faust opuścił komnatę cesarską, wrócił jednak w kilka chwil później.

Za nim nadszedł Aleksander taki, jakim widziano go za życia z krwi i kości. Był to mały, dobrze zbu-

dowany człowieczek z gęstą rudą brodą, czerwonymi policzkami i szorstkiem spojrzeniem, jak gdyby rzucały je oczy bazyliczka. Przystąpił do cesarza Karola w pełnej zbroi, składając mu niski ukłon. Gdy wyszedł, ukazała się żona jego i również złożyła ukłon. Miała na sobie suknię z niebieskiego aksamitu, przybraną złotem i perłami. Była niezwykle piękną; nęciły różowe jej policzki, niby krew z mlekiem, długa figura i twarz zaokrąglona.

W tej chwili powstał cesarz, pewien, iż zjawisko, wywołane na jego żądanie przez Fausta, jest zasadzką, w którą uda mu się wciągnąć czarodzieja. Wiedział, że żona Aleksandra miała znamię na karku.

Podszedł więc do tej, którą mu przedstawiono jako połowicę króla Macedońskiego i nachylił się, by sprawdzić wiarogodność jej na mocy ścisłych wskazówek, dostarczonych przez historję.

Znamię znalazło się, istotnie, na miejscu wskazanem.

* * *

Kimże był ten człowiek nadzwyczajny, który zdołał wprawić w zdumienie nawet cesarza?

Synem wieśniaka z Knittlingen w Wirtembergii. Ojciec jego należał do ludzi uczciwych i bogobojnych. Biedny był, lecz, otrzymawszy niewielki jakiś spadek, przeznaczył go całkowicie na wykształcenie syna, który udał się na naukę najpierw do Ingolstadt w Bawaryi, następnie do Witembergi w Saksonii. Dziecko, bardzo zdolne i pracowite, z niezwykłą szybkością przyswoiło sobie zakres wiadomości, udzielanych w tej epoce z dziedziny teologii, filozofii, prawa, astronomii.

Dla dokończenia wiedzy udał się do uniwersytetu

krakowskiego w Polsce, gdzie zasłużył sobie na wyjątkowe odznaczenia.

Po wyjściu z uniwersytetu wielu młodych ludzi obierało podówczas zawód, stanowiący wyłączną właściwość wieków średnich, mianowicie żaków, studentów wędrownych, scholastici vagantes. Nadawał on rozmaite przywileje, między innymi prawo pobierania zasiłków od dawnych uczniów. Tym sposobem można było kształcić się w dalszym ciągu, osiągnąwszy zarówno z nabytej już wiedzy, jak i z prawa do pomocy byłych studentów środki, niezbędne do utrzymania. Pragnienie włości paliło jednak stokroć więcej młode mózgi, aniżeli żądza nauki, a poza kształceniem bliźnich tyle było innych, nierównie przyjemniejszych sposobów zdobywania pieniędzy! — Posiadając choć trochę wiadomości z dziedziny medycyny, astrologii i magii, jakże śmiało przystępowało się do otumaniania ludzi, a pierwsze próby w tym kierunku wkrótce przybierały cechę stałego zawodu.

Scholastici vagantes żyli przede wszystkim z szarlatanizmu; niektórzy dopuszczali się nawet jak najbrutalniejszych podejść. Zwykłą rzeczą było zakradanie się potajemnie do obór i składanie tam łajna niedźwiedzego, lub wilczego. Węsząc odór, zwiastujący obecność lub bliskość niebezpiecznego wroga, bydło wpadało w trwogę, wyłamywało drzwi i biegło na wieś, oszalałe... W takiej to chwili zjawiał się niespodziewanie scholasticus, zapewniając, iż władca magicznem zaklęciem, jedynem, które jest w stanie odczynić urok, zadany bydłu, uciekającemu w takim popłochu. Dzierżawca wahał się zrazu, lecz, nie będąc w stanie sprowadzić bydła do obory, ulegał niezłomnym zapewnieniom uczonego bohatera i zawierał z nim umowę na pewną określoną sumę jako wynagrodzenie

za dokonany egzorcyzm. Po skończonym targu domniemalny czarodziej wchodził znowu do obory, by usunąć łajno. Stawka została wygrana i wówczas zjawiało się całe grono towarzyszy, by wśród żartów, śmiechu i długich toastów, przeplatanych piosnką bachiczną odprawiać parodyę mszy na cześć wina:

„Introibo ad altare Bacchi
Ad eum qui laetificat cor hominis“.

Ci, którzy mieli dosyć odwagi, by zapuszczać się w krainę cudotwórczości, robili na tem jeszcze stokroć lepsze interesy, trzeba jednak było przytem posiadać dar unikania stosów inkwizycyjnych, na których ginęło przecięciowo od 300 do 400 czarowników w każdym mieście rocznie.

Podobny zawód wraz ze wszystkimi jego powabami i grozą ryzyka nęcił młodego Fausta, któremu nie brakło ani zapału, ani wiedzy, ani żaru pragnień gorących. Włóczęga sprzyja rozpuście, a niepodobieństwo przewidzenia dziś, co stanie się jutro, dodaje podwójnego uroku otrzymywanym wrażeniom. Doktor Faust — tak nazywał młodzieńczy scholasticus vagans sam siebie — oddał się zatem duszą i ciałem najwyuzdańszym rozkoszom różnego rodzaju. Otoczyło go to dziwnie groźnym urokiem, a tajemnicze praktyki z dziedziny magii, której się oddawał, zwiększyły jeszcze czar jego imienia.

Lecz w szale tym rozpasania próżno szukał Faust zaspokojenia bujnych swych żądz; wiedza magiczna starczyła zaledwie, by wprowadzać w zdumienie bliźnich, nie dając mu władzy, o której marzył, władzy opanowania wszechstworzeniem i zniewolenia go do posłuszeństwa dla siebie.

Pewnego dnia ujrzano przy boku jego dziwną o-

sobistość, którą podawał jako sługę swego. Był to człowiek o drwiącym uśmiechu i oczach, pozeranych dziwnym blaskiem, jak gdyby paliło się w nich odbicie piekła. Faust twierdził, iż wziął go do siebie przez współczucie; nazywał go Krzysztofem Wagnerem i opowiadał o nim, iż jest dzieckiem nieprawem księdza z Wasserburga i jakiejś służącej. Zmuszony do ucieczki przed gwałtownością ojca swego, Wagner na razie żył tylko z żebraniny, co wzruszyło wielce Fausta.

Nikt jednak nie wierzył tym dowodzeniom; każdy miał to przekonanie, że dziwny sługa był niczem więcej, jak tylko dyabłem we własnej swej osobie.

Nie mylił się tłum.

Towarzysz doktora Fausta pochodził, istotnie, z rodu demonów i przybrał tylko chwilowo na siebie kształty człowiecze, nazwawszy się Mefistofelem, to jest tym, „co nie lubi światła“.

*

*

*

A oto co zaszło:

Faust oddawał się którejś nocy dociekaniom alchemicznym, gdy nagle z płomienia tygla wyskoczyła przed nim jakaś postać wykrzywiona.

— Próżna twa wiedza, poczciwy doktorze — rzekło zjawisko. — Nie zdobędziesz tego, czego szukasz, jeżeli nie wezwiesz mnie na pomoc.

— Kto jesteś? — zapytał Faust.

— Czy chcesz zaprzedać mi duszę? — Dam ci wzamian wszystko, czego tylko zapragniesz na tym świecie.

— Pragnienia moje nie mają granic i odradzają się wciąż. By je zaspokoić, trzeba być Bogiem lub szatanem.

— Jestem szatanem — odparła wykrzywiona po-

stać. — Na dwadzieścia cztery lata możesz mię wziąć do siebie jako sługę swego. Przez cały ten czas posiadiesz wszystką władzę moją, a niema uciechy, którejbyś ułaknął. Po upływie tego terminu jednak będziesz należał do mnie.

Faust zatrząsł się cały.

Oczy jego zabłysły żądzą, jak gdyby już ujrział zdała wszystkie oczekujące go rozkosze, usta jego wszakże, odtrętviałe ze strachu, nie były w stanie wymówić ani jednego słowa.

Szatan zaśmiał się drwiąco:

— Ha, ha, ha, jesteś człowiekiem, jak wszyscy inni, ty, który marzysz o zniewoleniu do posłuszeństwa dla siebie całego rodzaju ludzkiego. Chciałbyś, lecz boisz się... Ha, ha, ha!...

Faust usiłował przemówić, lecz znowu słowa uwięzły mu w gardle.

— No, rzekł szatan — widzę, iż trzeba ci dać czas do namysłu. Słuchaj, oto umowa, którą spisałem własnoręcznie: zbadaj ją, rozważ każde słowo. Jeżeli zgodzisz się na nią, podpisz ją krwią własną i przynieś do sąsiedniego lasu. Starczy, byś mię zawołał, a przyjdę.

Zaśmiał się śmiechem szyderczym na nowo i zniknął, zostawiając gęsty dym wraz z odorem siarki za sobą.

Faust, pod którym zadygotały nogi, chciał oprzeć się o stół, natrafił jednak ręką na pergamin z wypisanemi czerwoną barwą następującemi słowami:

„Ja, Jan Faust, doktor, wyznaję publicznie i własnoręcznie, dla potwierdzenia faktu i na mocy odezwy niniejszej, że, ponieważ podjęte przeze mnie badania nad żywiołami, mimo darów, jakie zostały mi zesłane i łaskawie udzielone z góry, nie doprowadziły mnie

do odnalezienia w sobie zdolności, a w ludziach pomocy koniecznej dla urzeczywistnienia zamiarów moich, — poddałem się władzy ducha, zesłanego mi obecnie. Imię jego Mefistofeles. Jest jednym ze sług księcia piekieł. Wybrałem go, aby był mi uległym i posłusznym we wszystkim. Wzamian za to obiecuję mu ze swej strony, przyjmując na siebie pełne zobowiązanie, że po upływie dwudziestu czterech lat od daty pisma niniejszego będzie mógł rozporządzać mną, rządzić, kierować, władać, panować nade mną, stosownie do woli i dobrej chęci swojej, cała moja osoba bowiem: ciało, dusza, krew i wszystkie dobra moje przejdą w posiadanie jego wieczyste. Wyrzekam się zresztą wszystkich ludzi na świecie i całej armii niebieskiej; niechaj już tak będzie. Ażeby nadać aktowi powyższemu wiarogodność niezbitą i jak najwyższą prawomocność, podpisuję go i podkreślam własnoręcznie, związuję go, pieczętuję i znaczę własną krwią, której ślady zostawiam, będąc najzupełniej przy zdrowych zmysłach, przytomnej głowie i świadomej woli“.

Przeczytał raz jeden i drugi; kilkakrotnie bliżki już był podarcia pergaminu, zawsze wszakże powstrzymywała go moc, silniejsza od jego woli.

Przyszła noc następna. Próżno usiłował zasnąć. Jakiś głos zdawał się powtarzać mu wciąż prosto w uszy:

„Podpisz umowę, a będziesz wszechmocnym. Podpisz umowę, a zaznasz wszelkich rozkoszy. Jeżeli cofniesz się, to tylko przez podłość“.

Wstał wreszcie.

— A więc nie, nie lękam się niczego! — zawołał.

I przebił sztyletem jedną z żył lewej ręki, zebrał krew w tygiel, który umieścił na rozpalonych węglach,

umoczywszy zaś pióro w dymiącym płynie, dodał przy końcu paktu, zredagowanego przez szatana:

Niżej podpisany

Jan Faust

Świadom żywiołów, nauk duchowych doktor.

Poczem, jakby pijany i oszołomiony występny swym czynem, podążył do sąsiedniego lasu Maugalskiego.

— Szatanie! — zawołał silnym głosem z pod cienia drzew tajemniczych.

Silny wiatr wstrząsnął borem całym; blask czerwony rozpałił krwawą łuną gałęzie, wijące się nakształt widm udręczonych.

— Otom jest! — odparł głos, któremu towarzyszył nieustanny śmiech szyderyczy.

Szatan zbadał dokładnie podpis.

— Znakomicie, kochany doktorze! — Odtąd jestem zatem na usługi twoje. Ażebyś jednak nie potrzebował wzywać mnie wciąż do siebie, zostawię przy boku twoim tego z przedstawicieli swoich, który w kontrakcie został oznaczony jako Mefistofeles.

* * *

W towarzystwie więc tego oto sługi piekieł przebiegał Faust, istotnie, większą część Niemiec. W tym szalonym pościgu za rozpustą robił jednak przerwy od czasu do czasu.

Do dnia dzisiejszego jeszcze pokazują w Erfurcie dom o wklęsłym dachu ze śpiczasto zakończonemi drzwiami, gdzie jakoby miał przebywać słynny czarnoksiężnik, dom obrócony dziś na jakiś zakład poprawczy. Faust spędzał w nim zresztą zaledwie po parę godzin dziennie, widywano go bowiem najczęściej w zajazdach

i hotelach, śmiejącego się, pijącego, zaczepiającego dziewczęta i wprowadzającego tłum w zdumienie zarówno czarodziejskimi sztuczkami, jak i obżarstwem swoim! Wielkie czyny bachiczne należały, zdaje się, do tych, w których celował i które upodobał sobie nadewszystko.

Ślady ich odnajdujemy także i w Lipsku, gdzie czarodziej bawił również czas jakiś. Stare malowidła w dolnej sali klubu Auerbacha przedstawiają go jadącego konno na beczce tak olbrzymich rozmiarów, że wszyscy chłopcy bednarscy, razem wzięci, nie byli w stanie poruszyć jej z miejsca. Faust założył się, że wypije ją całą; jakoż wypróżnił ją, istotnie, nie zostawiwszy ani kropli.

Wspomnienia o nim pozostały prócz tego jeszcze aż do ostatniej chwili w Norymberdze, Krakowie i Ingolstadzie. Tu, w tym ostatnim, istnieje protokół, dotyczący wygnańców, gdzie znajdujemy wyrok następujący:

„W środę po świętym Wicie (1528 r.) oznajmionem zostało pewnemu osobnikowi, podającemu się jako doktor Jan Faust z Heidelberga, ażeby poszedł rzucać pieniądze gdzieindziej“.

Wygnanie nie było jedyną karą, jaka go dotknęła: władze duchowne prześladowały go niejednokrotnie, gotując dlań stos.

W jednej z najcięższych dla siebie chwil znalazł schronienie u przyjaciela swego, księdza Entenfussa w klasztorze Maulbrońskim. Faust przechwalał się, że napełnia kasy gospodarza swego złotem, wpadłszy na pomysł dobywania go. Czas jakiś pracował w wieży, która po dzień dzisiejszy zachowała nazwę „kuchni Fausta“, złota jednak nie wyrabiał, szatan bowiem, wiedząc, że odsłonięcie tajemnicy uczyniłoby go po-

tężniejszym od piekła samego, ukrywał ją przed nim starannie.

Pod koniec życia czyli w ostatnich latach paktu, wiążącego go z dyabłem, doktor Faust osiadł, zdaje się, w Wittemberdze.

Tam żył z kobietą cudnej urody, którą nazywał Heleną. Było to żywe odtworzenie tej Heleny, której obraz wywołał pewnej niedzieli wobec studentów. Wspomnienie tego zjawiska kusilo go wciąż. „Pewnego dnia — opowiada legenda — oznajmił swemu duchowi, iż musi mu ją przyprowadzić, co też i nastąpiło. Helena stała się ukochaną towarzyszką jego... W ostatnich latach paktu zaszła w ciążę i dała mu syna, którego nazwał Justusem Faustem“.

Jednak miłość tej kobiety i narodziny dziecka dalekie były od zapewnienia spokoju duszy jego, gdyż oto zbliża się termin umowy: Faust, dręczony widziadłami trwogi lęku, był jak istota, wydana na łup ciągłego obłądu.

Za nadejściem ostatniej nocy postanowił jednak nie okazywać strachu i zwrócić dług swój z miną dobrego gracza. Jak gdyby nie troszcząc się o potępienie swoje, zaprosił liczne grono biesiadników na wspólną ucztę. Usiłował być najweselszym z pomiędzy wszystkich, dawał przykład wychylania pełnych puharów, zawodził pierwszy zwrotki bachiczne... Nagle jednak koło północy zerwała się groźna burza, szarpiając dachem domu, trzęsąc murami i wywalając drzwi. Zrozumiałwszy, że szatan nadchodzi, biesiadnicy uciekli w popłochu i trwodze, zostawiając pełne puhary...

Nazajutrz znaleziono ślady krwi na ścianach wielkiej sali, jak gdyby wywołała je groźna walka.

Faust leżał, wyciągnięty, twarzą do ziemi. Próżno usiłowano odwrócić trupa grzbietem: wracał za każdym

razem do poprzedniego położenia. Szatan nie chciał, aby nawet pod powłoką śmierci oczy jego mogły patrzeć w niebo.



Legenda powyższa nie jest wynikiem czczej wyobraźni jedynie.

Doktor Faust istniał rzeczywiście; wspominają o nim dzieła uczonych z tej epoki. Osoby, godne wiary, znały go, między innymi i Melanchton.

A prawdą to tak oczywistą, że według wskazówek tych, co na własne oczy widzieli czarnoksiężnika, Rembrandt mógł wykonać jego portret.

Występują w nim na pierwszym planie wszystkie zmysłowe cechy Fausta, a więc: czoło potężne, niezwykle wysokie i wypukłe, włosy rzadkie i skręcone, oczy, błyszczące żądzą, nos długi, grube wargi... Był to niewątpliwie człowiek o gwałtownych namiętnościach, oddany przedewszystkiem pijaństwu i rozpucie; dokoła imienia jego wszakże zgrupowało się mnóstwo opowiadań wątpliwej wiarogodności, a dotyczących nie tylko jednego, lecz wielu doktorów i nekromantów średniowiecznych.

Długi czas mieszano dwie osobistości: Jana Fausta z Janem Fustem, współpracownikiem Gutenberga, któremu zawdzięczamy druk pierwszych biblii. Prace Scheibla, Engela, Schwengberga, Ristelhubera i Falgana wykazały nieporozumienie, usuwając na zawsze możliwość pomyłki.

Dzieje Fausta zawierają głównie dwie słynne prace.

Pierwsza, anonimowa, wydrukowana i wydana przez Jana Spiesę, znalazła w 1587 r. rozpowszechnienie w całej protestanckiej Europie.

Druga, nosząca tytuł „Prawdziwej historii

doktora Fausta, bardzo sławnego Czarodzieja i Czarnoksiężnika“, została napisana przez teologa protestanckiego, Jerzego Rudolfa Widmana i ukazała się w 1599 r. w Hamburgu.

Nie jest to twór wyobraźni, lecz raczej zbieranina wiadomości, czerpanych z najróżnorodniejszych źródeł, na dnie których niewątpliwie tkwi do pewnego stopnia jądro prawdy.

*

*

*

Podanie o Fauście nie zasłużyłoby na zaliczenie go do rzędu wielkich legend ludzkości, gdyby poeta olbrzym, oświeciwszy je blaskiem swego geniuszu, nie był przeobraził go w nieśmiertelny symbol.

W opowiadaniach XVIgo wieku legenda ta jest prostą bajką o człowieku, sprowadzonym na manowce przez pychę i skazanym za to na wieczne potępienie. Przebija w nich tło epoki, z której wyrosły, a więc: wiara w czary i strach przed piekłem.

W umyśle Goethego wszakże wąta treść rozszerzyła się nagle, podniosła, potężnym wzlotem objęła rozległe kresy zagadnień filozoficznych i ogólnoludzkich. Faust przestaje być już tylko nekromantą, rozpustnikiem graczem, karanym za występki swoje, lecz wciela w siebie obraz ludzkości, niespokojnej, dążącej do ideału, który ma olśnić ją blaskiem ożywym, zapewnić jej pogodę i pokój. Ludzkość ta zwraca się przedewszystkiem do wiedzy, lecz, niestety, natrafia tylko na rozczarowanie i poczucie własnej niemocy. W szale rozpaczy wzywa wówczas na pomoc potęgę nadprzyrodzoną i staje wobec szatana... Zaledwie jednak poddała się nowemu władcy, opanowywa ją żal, wstyd i niesmak. Jedna rzecz tylko może ją zbawić: miłość dla piękna bez-

względego, piękna doskonałego, które jest jednym ziemskim odblaskiem bezcielesnej prawdy.

Dlatego też zrobił Goethe Fausta kochankiem Heleny, tej, która niezrównaną swą pięknnością wywołała zachwyt, zazdrość i krwawe walki narodów. Ze związku tego narodził się Euforion czyli geniusz współczesny.

Niesprawiedliwością byłoby przypisać Goethemu jedynie całość pomysłu. Na dwieście lat przed ukazaniem się jego Fausta wyprowadził na scenę słynnego czarodzieja Krzysztof Marlow, łącząc go tak samo z Heleną i objaśniając istotne znaczenie tego związku, Goethemu zatem nie pozostawało nic więcej, jak tylko rozwinąć myśl zasadniczą swego poprzednika.

Dokonał tego zresztą wspaniale i uwieńczył dzieło zakończeniem, najzupełniej samodzielnym. Zbawienie Fausta, oswobodzenie duszy potępieńca i zlanie nań łaski przez miłość, było zuchwalstwem, na które nie mógł zdobyć się Marlow, za takie rzeczy bowiem w jego epoce czekał stos, na którym palono heretyków.

Przed poetą weimarskim pokusił się o obrobienie Fausta Lessing. Zrozumiawszy istotne znaczenie, jakiego można nadać legendzie, wznawiając ją, ograniczył się wszakże tylko do skreślenia szkicu scenicznego, w którym tak samo, jak Goethe, uwalniał Fausta w końcu z rąk szatana.

Temat powyższy zbyt wiele daje pola do poetyczno-filozoficznych mrzonek, aby nie wywołać całego szeregu prac najróżnorodniejszych.

Ograniczamy się dla braku miejsca na zaznaczeniu tylko romansu Klingera (1791), opiewającego podróż Fausta do piekieł, dalej — poematu epiczno-dramatycznego Lenaua, na który składa się bezładna mieszanina scen, dyalogów i ballad, — wreszcie dramatu

Grabbana, wyprowadzającego z niebywałą zuchwałością na scenę Don Juana i Fausta równocześnie.

Tem mniej miejsca pozostaje nam na wymienienie prac z dziedziny malarstwa i muzyki, którym podanie średniowieczne posłużyło za temat. Co się tyczy pierwszych, wspomnieliśmy już o portrecie Rembrandta, dodać więc tylko należy, że z pomiędzy wielu innych mistrzów, którzy przedstawiali sceny z Fausta, upodobał je sobie szczególnie Ary Scheffer, poświęciwszy im kilka obrazów. -- W dziedzinie muzyki, któż nie zna „Fausta“ Gounod'a, najpoetyczniejszej z oper, a także wspaniałego „Potępienia Fausta“ Berlioza?*)

*

*

*

Kilka wierszy jeszcze poświęcić musimy podaniu o polskim Fauście, które w zestawieniu z podniosłym nastrojem Fausta Goethego kończy się wielce humorystycznie.

Faust polski zwie się Twardowskim. Zawarł on pakt z szatanem, wymówił sobie jednak, że przed porwaniem jego duszy władca piekieł będzie musiał spełnić trzy narzucone mu życzenia i dzięki podobnej o-

*) Bardzo wyczerpujące studium o Fauście, jako o typowym przedstawicielu magii i czarnoksięstwa, czyli tak, jak pojmuje go wiedza współczesna, spotykamy w dziele Ignacego Matuszewskiego p. t. „Czarnoksięstwo i medyumizm“. Do niego też odsyłamy czytelników, pragnących wnikać głębiej w istotę i psychologię tej niezmiernie ciekawej postaci, która, jak wykazują źródła, nie była bynajmniej tem, co zrobiły z niej po upływie wieków poezya i muzyka. (przyp. tłum.).

strożności, wyczekiwał jak najspokojniej terminu wypłaty.

Dyabeł staje przed nim nareszcie w chwili, gdy dookoła niego wre zabawa, a on sam tańczy zawzięcie.

Twardowski przyjmuje wierzącego z uśmiechem na ustach i przypomina mu owe trzy życzenia.

— Prawda, pamiętam. Rozkazuj więc — rzecze szatan.

— Dobrze. Powiedz mi, czy widzisz konia, wymalowanego na szyldzie karczmy? — pyta Twardowski. — Jeżeli tak, tchnij w niego życie, a wskoczę na siodło i pogalopuję na nim trochę.

Dyabeł chętnie spełnia żądanie. Koń wyskakuje z ram szyldu i, osiodłany, staje, rżąc przed tym, który go wezwał.

— No, ale do konnej jazdy potrzebna szpicruta — woła dalej Twardowski.

Szatan bierze garść piasku i kręci z niej natychmiast bicz upragniony, poczem uderza w śmiech szyderczy na widok zakłopotanego dłużnika, który utknął na trzecim życzeniu.

— Słuchaj — rzecze — po co dręczyć wyobraźnię? — Chodź ze mną i koniec.

Twardowski jednak podnosi głowę z uśmiechem.

— Nieco cierpliwości jeszcze, przyjacielu. Powiedz mi, znasz ty panią Twardowską, moją żoneczkę?

— Tak.

— A zatem, ostatniem mojem życzeniem jest, abyś spędził z nią dwadzieścia cztery godzin tak, jak gdybyś był najprawdziwszym jej małżonkiem.

— Ja... małżonkiem tej baby... choćby tylko przez dwadzieścia cztery godziny?... nie, tego nie spełnię nigdy...

Poczem dyabeł czmychnął i dotąd jeszcze jak czmychał, tak czmycha.*)

*) Jak widzimy, Humiac streścił legendę naszą w tej formie, w jakiej do pewnego stopnia podał nam ją Mickiewicz. Ballada „Pani Twardowska“, ten błyskotliwy, zręczny, dowcipny wytwór subtelnej ironii naszego poety, to jedna z licznych odmian ludowego podania, istniejącego po dziś dzień, a przypisyującego Twardowskiemu różne nadprzyrodzone właściwości, jako to: latanie po powietrzu bez skrzydeł, jazdę na malowanym koniu lub kogucie, pływanie po Wiśle wstecz wody bez wiosła i żagli i t. p.

Czy Tw. istniał naprawdę?—Nie mamy prac, któreby zawarły dzieje jego życia tak, jak zawarły księgi Widmana i Spiesza dzieje Fausta. „Wobec braku podobnych danych—pisze Ignacy Matuszewski w dziele swem „Czarnoksięstwo i Medyumizm“ Twardowski musi być zaliczony do olbrzymiej galeryi fantastycznych i pół fantastycznych figur, w jakich wyobraźnia każdego narodu uplastyczniała i krystalizowała swoje pojęcia o magii i czarnoksięstwie.

Że Twardowski mógł istnieć i działać, o tem świadczy najlepiej stan magii w dawnej Polsce, a specjalnie w Krakowie, którego wszechnica słyęła pospółu z tokańską i salamaneką, jako główne ognisko badań czarodziejskich w Europie. Stara biografia Fausta opowiada, jako doktor niemiecki udał się do „Krakowa w Polsce, sławnego z czaruoksięstwa przed laty uniwersytetu“. Jan Wier w swoim dziele „De Praestigiis Daemonum“ (1586) pisze: „Kiedy dawnymi czasy w Krakowie polskiem wykładano czarnoksięstwo w szkołach publicznych...“ Potwierdza to i Górnicki w „Dworzaninie“, mówiąc o pewnym zwolenniku

VIII.

Legenda o Don Żuanie.

Około 1670 r. istniało w Sewilli bractwo pod wezwaniem świętego Jerzego. Było to stowarzyszenie miłosierne, a do głównych jego zadań należało okazywanie pomocy nieszczęśliwym bliźnim. Członkowie zobowiązywali się do umieszczania chorych w szpitalach, grzebania ich po śmierci, do odwiedzania więźniów w niewoli i towarzyszenia im na miejsce skazania.

Zgromadzenie to, bardzo nieliczne, mimo szlachetnego swego celu, pozbawione było, niestety, środ-

tajemnej wiedzy, który żałował tego, „że się na ten czas nie narodził, kiedy jej w krakowskich szkołach jawnie uczono“ (II) Michał Wiszniewski wierzy temu najzupełniej. Zdaje się—powiada w IV tomie „Hist. lit. pols.“ iż niektórzy z akademików krakowskich pokryjomu magią trudnili się, a u jednego z nich sławny tego wieku czarnoksiężnik, doktor Faust, magii wyuczył się.

Wszystko to świadczy, że się u nas kwestyą magii i okultyzmu zajmowano, czyli, że istniał i wśród społeczeństwa polskiego grunt, na którym mógł wyrosnąć czarodziej w rodzaju nie-

ków materyalnych. Nędzny klasztor i opuszczona kaplica stanowiły własność jego jedyną. Wybudowanie szpitala należało do rzędu ambitnych pragnień bractwa. W tym celu postanowiło ono zbierać datki, co podówczas przychodziło z wielką trudnością.

Pewnego dnia zakonnicy z bractwa świętego Jerzego ujrzeni przed sobą szlachcica w kwiecie wieku, niezwykle kształtnego i pięknego, o rysach, wywołujących silne wrażenie głębią rozlanej na nich melancholii.

W błyszczących, jak czarne dyamenty, a rozpalonych niegdyś zapewne ogniem żądź jego oczach przebijająca troska i szal wyrzutów. Każdy ruch jego nacechowany był dumą rodową i odwagą wyniosłą. Co jednak uderzało przy wpatrywaniu się w niego najbardziej, to wyraz rozczarowania, które zdradzała pewna zmarszczka ust, jak gdyby na wargach, zbyt często składanych do szalonych pocałunków, nie zostało nic więcej, prócz jadu goryczy.

Przełożony klasztoru zapytał przybysza, co skłoniło go do tych niezwykłych odwiedzin?

— Ojciec — odparł nieznajomy — jestem jednym z największych grzeszników. Całe moje życie

mieckiego Fausta. Bardzo nawet możliwe, że tym czarodziejem był Twardowski.

Pierwszą, bardzo zresztą ogólnikową wzmiankę o nim spotykamy w „Dworzaninie“ Górnickiego. Ponieważ „Dworzanin“ ukazał się w r. 1566-ym, biografia zaś Fausta dopiero roku 1587, niema więc zasady przypuszczać, żeby Twardowski był tylko fantazyjną kopią niemieckiego czarnoksiężnika. Musiał on niewątpliwie istnieć i działać, ale znacznie wcześniej od Górnickiego (1527—1603), gdyż humanista polski wspomina o nim w anegdocie, odgrywającej się za „starego“ króla (Zygmunta I-go, 1506—

do tej pory było niczem więcej, jak tylko jednym ciągiem oszustw i zdrady. Uwodziłem łatwowierne dziewczęta, zwracałem wierne żony z drogi obowiązku. Do setki rodzin wniosłem rozpacz i hańbę.

Byłem najgroźniejszym z pomiędzy rozpustników, nie cofałem się bowiem przed niczem, coby stało na przeszkodzie wyuzdaniu memu. Żywe wcielenie żądzy, gnany mocą tajemniczej jakiejś potęgi, która pchała mnie do zdobycia niedoścignionego ideału miłości, nie ustawałem ani na chwilę; żaden wzgląd nie był w stanie zatrzymać mnie w tym zaciekłym pościgu, w którym łzy, prośby i klątwy szły za mną. Nakształt siły nieświadomej, która miażdży wszystko na drodze swojej, deptałem ciała kochanek, już zdobytych, ażeby szukać w objęciach innych zaspokojenia nieugaszonej żądzy wrażeń i palącej tęsknoty za czemś nieznanem. Na drodze mojej, która była długą, przeszedłem bowiem przez tysiące przygód i niebezpieczeństw najróżnorodniejszych, zostały tylko ofiary, a ręce te, tak często splecione uściskiem, czerwone były nieraz od krwi...

Zakonnik cofnął się przed nim.

— Ktoś ty? — zawołał zmienionym ze strachu głosem.

1548), już jako o osobie, pochodzącej z dawniejszej epoki. Pierwszym, który spisał część gawęd o Twardowskim, był lekarz Zygmunta III-go, Possel (*Compendium historiae Possellanae*—rękopism). Tam to znajduje się opowieść o wywołaniu ducha Barbary Radziwiłłówny. Otóż podobne historie i legendy łączą się z istnieniem każdego prawie sławniejszego czarnoksiężnika“.

W fantastycznych dziejach Twardowskiego spotykamy jednak także cały szereg motywów oryginalnych, jako to: zniesienie do Olkusza srebra z całego kraju; postawienie Skąły Sokolej

— Jestem Don Juan Tenorio y Salazar, drugi hrabia Marany, pierwszy pan na Albarrenie.

— Precz stąd, przeklęty! — Czy przyszedłeś, aby zbecześcić klasztor nasz nowem jakim zuchwalstwem? Strzeż się, aby Bóg sprawiedliwości nie ugodził ciebie piorunem za wszystkie przestępstwa twoje.

— Bóg miałby słuszność, zsyłając na mnie karę, zasłużyłem bowiem na gniew Jego. Nie przychodzę też tutaj, aby Go wzywać; pragnę jedynie odbyć pokutę. Przyjmij mię, ojcze, żałuję bowiem za grzechy.

Don Juan zwiesił głowę przy ostatnich tych słowach.

Uderzony pokorą człowieka, który sływał z zuchwalstwa swego, zakonnik stał przez chwilę w osłupieniu.

Pytał sam siebie, czy należy wierzyć w szczerść Don Juana, czy też trzeba go posądzać o nowy jakiś podstęp?

— Mówisz, że żałujesz za grzechy? — spytał.

— Żałuję z głębi serca i pragnę odpokutować nieprawości moje przez umartwienia i dobre uczynki. Nie mów, że niema dla mnie miłosierdzia: to być nie może.

— Miłosierdzie boskie jest bez granic. Jeżeli przy-

cienkim końcem na dół; przeniesienie wielkiego kamienia pod Czerwińskiem z miejsca na miejsce; wykopanie w ciągu jednej nocy stawu pod Knyszynem i t. p.

W podaniach ludowych zjawia się Twardowski jako szlachcic polski, żyjący w XVI-ym w. w Krakowie. Zapisał on duszę dyabłu pod warunkiem, iż tylko w Rzymie będzie mogła przejść w jego posiadanie. Sprytny dyabeł pokierował tak, że Twardowski znalazł się nieopatrznie w karczmie, zwanej R z y m, wówczas napadł na niego, uniósłszy go w górę. Twardowski zanucił Godzinki i uwolnił się przez to wprawdzie z pod władzy dyabła, ale

byłeś tutaj, by wyprosić je sobie, nie mam prawa zamknąć drzwi przed tobą. Nim przestąpisz jednak próg tego klasztoru, padnij na kolana i... wyznaj błędy swoje!

Don Juan ukląkł na kamieniach, zrobił ręką znak krzyża i rozpoczął dzieje karygodnego swego życia.

*

*

*

„Jestem synem wielce świątobliwej niewiasty, która wychowała mię w pobożności, i człowieka bardzo dzielnego, usiłującego niegdyś zrobić ze mnie męża odwagi i czynu. W herbach naszych rodowych jest złoty kielich; wyobrażają one wogóle uczucia, którymi powodowaliśmy się zawsze: pobożność i zapal wojenny. Dzieciństwo moje upłynęło na władaniu rapirem oraz łukiem. Gdy wyuczyłem się jak najdokładniej służenia do mszy i wywijania szablą jednakożo zręcznie obiema rękami, wysłano mnie dla dokończenia wykształcenia do uniwersytetu w Salamance.

„Tam to, ojcze, rozpoczyna się szereg grzechów moich.

„W gronie towarzyszy znalazłem wielu szaleńców i fanfaronów, którzy nauczyli mnie rozpusty. Nie

zato zawisł w powietrzu między niebem a ziemią i tak ma już wisieć aż do dnia sądu. Podanie to znajdujemy w „Klechdach“ Wójcickiego. Obrobili je w sposób najrozmaitszy poeci nasi: Mickiewicz, G. Zieliński, J. N. Kamiński, Korsak, Szujski, Groza, powieściopisarz i historyk J. I. Kraszewski. Do współczesnych autorów, którym dzieje Tw. posłużyły za temat, należą: Leopold Staff i Antoni Miecznik. Charakterystykę Twardowskiego w utworach dawniejszych poetów znajdzie czytelnik w książce Ign. Matuszewskiego „Dyabeł w poezji“.

(Przyp. tł.).

wspominam o tem jednak, by zmniejszyć doniosłość własnych błędów, wkrótce bowiem prześcignąłem tych wszystkich, którzy, świecąc złym przykładem, stali się pierwszymi mistrzami moimi. Po miesiącu nie było w mieście między studentami bardziej zuchwałego i śmiałego rozpustnika ode mnie. Dziewczęta, pojedynki, miłość cudzołożna i gry hazardowne stanowiły treść mego życia. Nie upłynął jeszcze rok nauki, gdy już musiałem opuścić ukradkiem Salamankę, aby uniknąć wymiaru sprawiedliwości. Zabiłem męża kochanki mojej, jednej z najznakomitszych i najbardziej utytułowanych dam z Sewilii, a ją samą zdradzałem z córką jej.

„Przebyłem morze i wylądowałem we Włoszech, gdzie nowe szaleństwa kazały mi zapomnieć o dawnym grzechu. Pijany obłędem namiętym, szedłem od jednej kochanki do drugiej, aż pewnego dnia, przegrawszy w kości wszystko, co posiadałem, wyjechałem wraz z kilkoma towarzyszami rozpusty do Niemiec, gdzie podówczas była wojna.

„Twierdzą, że okazałem wiele odwagi w ciągu tej kampanii. Istotnie, biłem się w tym samym zapale, jaki wkładałem w przygody swoje miłosne. Nieubłagana żądza, która owładnęła mą duszą, stawiała mnie wobec śmierci, jak wobec tajemniczej kochanki, której jeszcze nie zdążyłem dotąd zdusić uściskiem. Biegłem ku niej, porwany wściekłym pędem zmysłowym, oszalały koniecznością poznania, czy krwawy jej pocałunek nie obudzi we mnie dreszczy i skureczów dzikiego a nieznanego jeszcze odurzenia. Ponura ta pani jednak odwracała się ode mnie, usiłowałem więc przytłumić nieugaszony żar swój namiętny brutalną pieśczętą obozowych dziewcząt, gwałciłem kobiety w miastach obleganych. Rzucąłem się tym sposobem w

otchłań podwójnej rozkoszy: zwycięstwa, odniesionego dzięki sile fizycznej i bezlitosnego wyuzdania wobec niewieścich łupów zdobytych. Była to dla mnie nowa zupełnie dziedzina wrażeń zmysłowych, którą upodobałem sobie w niecnym swem upodleniu. Najnikczemniejszy żołnierz nie dorównał mi w czasie całej tej wojny szałem brutalnej rozpusty.

„Kampania bojowa dobiegała do końca, gdy dowiedziałem się naraz o śmierci ojca, a później matki, która go przeżyła o kilka dni załedwie.

„Spadało na mnie tym sposobem znaczne dziedzictwo. Mogłem być oddać część jego na dobre cele, lecz nie pomyślałem o tem ani przez chwilę: bogactwo posłużyło mi tylko dla powiększenia zakresu uciech.

„Sewilla pod tym względem przedstawia pole wielce podatne, wróciłem więc do niej i nie potrzebuję ci mówić, ojeze, jakim nadużyciom oddałem się odtąd.

„Orgie moje, przepych i wystawność życia dostarczyły materiału do kroniki skandalicznej, która nie potrzebowała szukać innych tematów, by zdobyć rozgłos. Echo jego dotarło pewnie i do cichych murów tego klasztoru. Odpowiadam nietylko za swoją rozpustę, lecz i za wyuzdanie tych wszystkich, których pociągnąłem przykładem swoim, łatwo bowiem człowiekowi bogatemu, dobrze urodzonemu olśnić otoczenie i pobudzić je do naśladownictwa. Łechtał grzeszną próżność moją widok tego uroku, jaki wywierałem dookoła. Nie starczyło mi już wyszukiwanie źródła wciąż nowych uciech: jak prawdziwy król rozpusty, musiałem być otoczony pochlebstwem, nieustannem nadskakiwaniem i przymilaniem.

„Pewnej nocy — zbliżamy się, ojeze, do najokrutniejszego z występków moich — pewnej nocy tedy

w czasie jakiejś uczty, pełen dumy, odczytywałem współbiednikom listę wszystkich swoich kochanek. Były pomiędzy nimi kobiety z najróżniejszych sfer. Szczyciłem się zdobyciem zarówno jakiejś córki królewskiej i innych pań najznakomitszych rodów, jako też i dziewcząt hotelowych lub prostych wieśniaczek. Ktoś jednak zwrócił mi uwagę, że lista ta niezupełna, brak w niej bowiem uwiedzionej zakonnicy.

— „Masz słuszość — odparłem — to tylko błąd zapomnienia, naprawię go jednak: przysięgam.

„Jakoż w istocie postanowiłem sobie jak najuroczyściej dotrzymać potwornej tej obietnicy.

„Przypadek sprzyjał zamiarom moim, wpadłszy bowiem na sposób nieznacznego wsunięcia się do jednego z kobiecych klasztorów w Sewilli, znalazłem tę, która wkrótce potem padła ofiarą chuci moich. Gdy opuściłem ją, szukała ucieczki w Bogu, rzuciłem w duszę jej jednak taki niepokój, że nie mogła mnie zapomnieć. Przyszło mi z łatwością odwrócenie jej od modlitwy i zdobycie dla siebie całkowicie. Zostało ułożone, że ją wykradnę.

„Pełen dumy zwycięskiej, wracałem z ostatniej schadzki dobrze już po północy, myśląc z zuchwalstwem czego pyszałka o radości, jaką mi sprawi uczta, którą wydam przyjaciółom na cześć zakonnicy, gdy nagle w przejściu przez ulicę spostrzegłem jakąś wcale ładną i śmiałą dziewczynę, ślącą mi pocałunki z balkonu swego.

— „A bodaj cię — powiedziałem sobie — to dopiero dziwne szczęście mam dzisiaj!

„Nie zwlekając, zawiązałem rozmowę z moją ślicznotką, a po chwili ujrzałem się w posiadaniu jedwabnej drabiny, którą mi z góry rzucono. Wdrapałem się po niej szybko... Jakież było zdziwienie moje jednak,

gdy, minawszy balkon, znalazłem się w ponurym, kirem obitym pokoju. Piękna dama, z którą rozmawiałem przed chwilą, zniknęła. Zostałem sam, mając przed sobą tylko katafalk z ciałem jakiegoś trupa i czterema płonącymi dokoła posępnie gromicami...

„Chciałem się zaśmiać, lecz śmiech utkwił mi w gardle. Zdjęty po raz pierwszy w życiu niepojętym strachem, wybiegłem na ulicę.

„Zimny dreszcz wstrząsał mną: przypisywałem go chłodnym powiewom nocnym i przyspieszyłem kroku.

„Byłem już blisko mieszkania własnego, gdy uderzył mnie dziwny widok: wychodził stamtąd orszak żałobny. Dwa długie szeregi pokutników w czarnych kapturach z otworami na oczy, rzucające zielonkawę błyski jakby błędnych ogni, zbliżały się ku mnie, zawodząc pieśni grobowe. Za nimi grupa ludzi w ubraniach świątecznych — dostrzegłem w ich gronie także i kilku towarzyszy rozpusty swojej — niosła trumnę, okrytą czarnym aksamitem.

„Podszedłem do jednego z nich, pytając:

— „Co to znaczy? — Kogo macie pochować?

— „A przecież to senior Don Juan.

„Chciałem zaprzeczyć, chciałem powiedzieć, że jestem w pełni sił i życia, lecz na nowo głos mój, jakby sparaliżowany, uwiązł mi w krtani.

„Nagle padłem na ziemię, pchnięty przez wieko trumny.

„... Po przyjsciu do przytomności ujrzałem się w łóżku. Febra mną trzęsła. Doktor siedział przy mnie. Opowiadano mi, że znaleziono mię zemdlonego przed bramą pałacu mojego.

„... Przebyłem ciężką chorobę, ojcze, i zrozumiałem, że zesłało mi ją Niebo, jako ostrzeżenie. Jeżeli

pragnąłem wyzdrowienia, to tylko dlatego, by móżdż odpokutować grzechy moje przed śmiercią.

„Oto dlaczego przychodzę do was w pokorze najgłębszej i z żalem najszczerzym.

„Tajemnica, której próżno szukałem na ustach lubieżnych, słowo bezwzględnej miłości — poznałem je teraz. Bóg mi je objawił: jest niem miłosierdzie, czyli nieskończona tkliwość, rozlana na wszechstworzenie.

„Racz więc przyjąć mnie, ojcze, do grona waszego, Bóg sam bowiem wskazał mi drogę do tego przytułku.

„Składam wam w ofierze całe moje mienie i przysięgam, że będę najgorliwszym z tych, co odwiedzają chorych, więźniów i cierpiących.

„Pozwól mi przestąpić próg ten, którego płytę kamienną całuję po trzykroć; pozwól mi znaleźć schronienie w tym świętym przybytku, gdzie padnie może na mnie miłosierdzie i łaska zbawienia.

* * *

Zwiedzając Sewillę, nie omieszkajcie zatrzymać się na placu Atarazońskim, niedaleko brzegów Gwadalquiviru, przed kościołem i szpitalem Caridad. Fasada kościoła w stylu romańsko-greckim przedstawia się nieszczerólnie, wewnątrz jednak można znaleźć kilka arcydzieł Murilla, a na białych marmurowych ścianach podwójnego patio, łączącego kaplicę ze szpitalem, istnieją po dzień dzisiejszy herby założyciela, don Miguela de Marana.

Jest nim nikt inny, jak tylko Don Juan Tenorio y Salazar, drugi hrabia Marany, pierwszy senior Albarrenu, ten sam, który w owym pomiętnym dniu przyszedł wypowiadać się z grzechów swoich przed przełożonym bractwa Świętego Jerzego.

Tyle podań krąży na temat różnych Don Juanów, iż można wraz z Mérimée'm przypuszczać, iż, jak niegdyś w Grecyi było kilku Jupiterów: raz Olimpijski, raz Kreteński itp., tak później każde miasto hiszpańskie przypisywało sobie jakiegoś Don Juana, dokoła którego krążyły legendy, właściwe środowisku, z jakiego powstały.

Jeżeli damy wiarę kronikom Sewilli, to prawdziwym Don Juanem będzie w takim razie tylko Don Juan Tenorio, potomek rodu „Dwudziestu czterech z Sewilli“, ten, który zabił pewnej nocy komandora Ulloę, wykradłszy przedtem jego córkę. Komandor został pochowany w klasztorze świętego Franciszka, gdzie była rodzinna jego kaplica. Mnisi fraciszkańscy, chcąc położyć koniec rozpuście Don Juana, którego wysokie urodzenie broniło przed dochodzeniem sprawiedliwości, zwabili go którejs nocy pod zwodniczym jakimś pozorem do klasztoru i zabili potajemnie, potem rozpuścili pogłoskę, że Don Juan przyszedł znieważać komandora po śmierci, posąg zaś nieboszczyka pochłonął go i porwał w głąb piekielnych czeluści.

Według kroniki Granadzkiej, w Juanie Albarreńskim należy dopatrywać słynnego niegdyś Don Juana. Według zaś Prawdziwej historii zdobycia Nowej Hiszpanii, Don Juan Albarreński pomieszałby się z Juanem Salazarskim.

Gdyby chcieć wierzyć Kronice Nowej Hiszpanii przez Gomere, kapelana Ferdynanda Korteza, a także i Historii zwycięstwa Meksyku przez Antonina Solisa, głównego historyografa Indyi pod panowaniem króla Filipa IV, jedynym Don Juanem, któremu pamiętna legenda przypisuje wszystkie grzechy występnych namiętności, byłby nikt inny, jak tylko Don Juan z Salamanki.

Nie przeszkadza to jednak przypuszczeniu, iż wszystkie kroniki powyższe podają wyjątki z dziejów jednego i tego samego człowieka, który w Grenadzie, zarówno jak w Salamance i Sewilli pozostawił niezatarte ślady szaleństw swoich. Tenorio było to nazwisko jego ojca; Maraną mieniło się hrabstwo, którego był panem tak samo, jak i Albarrenu. Co do innej nazwy, Salazara, należała ona do matki jego i została mu przekazana w dziedzictwie, wedle ówczesnego zwyczaju.

Don Juan Tenorio de Marana kazał zatem w latach między 1670 a 1679 wybudować kościół i szpital Caridad w tych zarysach, w jakich je widzimy dotychczas.

Był to pierwszy akt pobożności i dziękczynienia za życzliwość, z jaką został przyjęty do grona członków bractwa świętego Jerzego.

Okazał zresztą później, jako jeden ze stowarzyszonych, tyle gorliwości i prozelityzmu, że całe wyższe towarzystwo Sewilli, które naśladowało go niegdyś w szaleństwach wyuzdania, teraz prześcigało się, by za jego przykładem przyłączyć się do bractwa, odprawiać akt skruchy i nieść zgromadzeniu w pokorze obfitą jałmużnę.

Przez wdzięczność bractwo świętego Jerzego mianowało go *hermanomajorem* klasztoru.

Wówczas były rozpustnik, któremu Sewilla dała przydomek „*el barlador*“ (uwodziciel), podwoił jeszcze surowość obyczajów i gorliwość w spełnianiu dzieł miłosierdzia. Gdzie tylko była nędza, którą należało wspomódz, szedł tam. By lepiej odnajdywać ślady jej, wsiadał na grzbiet muła, pozwalając mu iść, dokąd zechce, instynktownie bowiem zwierzę stawało przed lepiankami ubóstwa.

Po powrocie z takich wycieczek oddawał się długim rozmyślaniom.

Ducha ich strzeszcza regulamin, ułożony przez niego w 1675 r. dla bractwa świętego Jerzego, a także Rozprawy na temat prawdy, z których wieje rzadki dar słowa. Przytoczony poniżej ustęp, wywołany wrażeniem, jakie budzi śmierć, przekona o tem czytelnika najdokładniej:

„Gdybyś miał wciąż przed oczyma prawdę, tę największą, — czyli, innemi słowami, gdybyś stał wciąż z szacunkiem i trwogą przed obliczem całuna śmiertelnego, którym cię z czasem okryją; — gdybyś pamiętał, iż legniesz kiedyś pod ziemią, którą zdepcze pierwszy lepszy przechodzień, wyrzekłbyś się chętnie zaszczytów i czcnych dóbr tej ziemi. I gdybyś chciał wziąć pod uwagę, jakie potworne robactwo stoczy twoje ciało, jakie ono będzie brzydkie i wstrętne pod płytą grobową, jak ziemia przegryzie oczy twe, które czytają w tej chwili te kartki, jak pożre i wysuszy twe ręce, jak jedwab i cały ten zbytek, który cię dziś zdobi, zamieni się w przegniłą powłokę śmiertelną; jak ambra przejdzie w odór cuchnący; jak piękność twoja i wdzięk rozsypie się w proch robaczywy; jak, zamiast rodziny i dostojnych towarzyszy, otoczy cię najwyższa samotność jaką wyobrazić sobie można, samotność żałobnej mogiły; — jeżeli uprzytomnisz sobie to wszystko, wchodź z szacunkiem do rodzinnego grobowca, przypatruj się myślą ojcu, matce, żonie, jeżeli ją straciłeś i przyjaciółom, których znałeś. Co za cisza!

— Nic nie słyhać, prócz głuchego szelestu robactwa!
— Gdzież zgiełk dawny, gdzie bieranina paziów i lokajów? — Nic, prócz strzępów pajęczyny. A korona i mitra? — Tam zostały, na świecie: tu koniec wszystkiego. Pomyśl, bracie mój, że i ty przejdiesz kolej

tę samą, że ciało twoje rozsypie się na kości jałowe, wstrętne, przerażające i że ci, którzy cię niegdyś kochali: żona twoja, mąż lub syn, doznają wrażeń ohydy na widok twój z chwilą, gdy życie przestaniesz, i że nawet istota, z którą wciąż obcowaleś, ulęknie się ciebie“.

Don Juan de Marana zmarł w dziewięć lat po wstąpieniu do klasztoru świętego Jerzego; najdokładniejszą datę skonu oznaczają w dniu 19 go maja 1679 roku.

Dwa dni przedtem napisał testament, który zawarł następujące rozporządzenia:

„Polecam, aby ciało moje po śmierci rozpostarte zostało na krzyżu usypanym z popiołu, jak tego żądają ustawy nasze, a nogi bosc aby zawinięto w płaszcz mój, zamiast w prześcieradło śmiertelne; u węzłowania niech postawią mi krzyż i dwie gromnice, a oblicze moje niech będzie odsłonięte. Ciało me, złożone na marach, przeznaczonych dla nędzarzy, niechaj zostanie poniesione do kościoła Santa Caridad w orszaku dwunastu księży tylko, ani jednego więcej, bez przepychu i bez muzyki; pochować je należy przed drzwiami cmentarza tegoż kościoła, ażeby deptano po mnie; w ten sposób tylko ledz może w ziemi takie ciało potworne, niegodne przybytku Bożego. Wołą moją jest również, ażeby na grobie moim umieścić kamień kwadratowy półtorej stopy długości z napisem: „Tu spoczywają kości i popioły najgorszego człowieka, jaki był na świecie; módlcie się za nim do Boga!“

Ostatnie te życzenia zostały spełnione niezupełnie wiernie. Pogrzebano trupa, istotnie, w dole przed progiem cmentarnym, położono jednak napis, zmieniony cokolwiek: *Cenizas del peor hombre que he habido en el mundo*. Gdy po roku wszakże

zakonnicy otworzyli trumnę, uderzyło ich zjawisko nadzwyczajne: ciało pozostało nietknięte. Uważając to za cud, zesłany przez Boga jako łaskę dla tego, co już zdołał odpokutować ziemskie swoje grzechy, postanowili przenieść do kościoła jego szczętki. Tym sposobem ciało Don Juana spoczywa obecnie w kaplicy Miłosierdzia przy wielkim ołtarzu na prawo. Napis, już nieco zatarty, zawiera pochwały i dzieje nawrócenia jego.

Niewiele brakowało, aby został kanonizowany. Ci, którzy zwrócili się z tem do Rzymu, pamiętali zapewne słowa, jakie Chrystus rzucił Magdalenie: „Wiele zostanie przebaczone tym, którzy bardzo kochali...“ Prośba o uznanie Don Juana za świętego rozpatrywana była przez cały wiek blisko od 1680 do 1778 roku, lecz, jak widzimy, bez skutku.

*

*

*

Jeżeli prawdą jest, jak to orzekł doktor A. Kahler, że „każdy człowiek ma w sobie coś z Fausta“ i z Don Juana, łatwo wytłomaczymy sobie niezliczoną ilość dzieł, jakim legenda o Don Juanie dała początek.

Żadne z nich wprawdzie nie ma tych cech nieśmiertelności, w jakie genialny dramat Goethego przyoblekł podanie o Fauście, z tem wszyskiem jednak należy wyliczyć choć pewną część prób podjętych.

Pierwszy autor, który poruszył ten przedmiot, ma, być może, najwięcej prawa do uwielbienia naszego, zostawił bowiem rzecz, zapewne nieco melodramatyczną i która zyskałaby niewątpliwie, gdyby wprowadzić w nią pewną równowagę, ożywia ją jednak taki piękny zapał, bohater jej tyle ma w sobie namiętności, że to zmniejsza wady. Autorem tym był współczesny

Lope de Vega mnich, Fray Gabryel Tellez. Pod pseudonimem Tirsa de Moliny napisał on i wystawił około trzystu sztuk scenicznych, z których, niestety, zostało zaledwie siedemnaście, a między nimi: i „El Barlador de Seville y Convidado de piedra“ (Uwodziciel sewilski i Gość kamienny), co jest właściwie najlepszym jego dziełem. Praca ta obfituje w zbyt wiele różnorodnych wątków, aby mózdz podjąć szczegółowy jej rozbiór. Musimy ograniczyć się tylko zaznaczeniem głównych zalet, a mianowicie: barwności i żywości niezwykłej, jak również wyrażeniem ubolewania, że bohater, poza dorywczymi, zaciekłymi umizgami, nie miał tu żadnego innego ideału, do którego by dążył.

Naśladowania potężnego tego dramatu obiegły szybko Włochy całe, a Francya poznała je równocześnie prawie z oryginałem. Z pomiędzy francuskich autorów wprowadzili don Juana na scenę pierwsi: de Villiers (1659), a po nim Dorimond. Były to próby jednak bardzo nieudolne. Na nalegania przyjaciół potanowił wreszcie Molière przedstawić hiszpańskiego bohatera w jednej ze sztuk swoich. W pracę swą włożył mistrz komedyi całą duszę, lecz, niestety, spaczył zupełnie osobistość chciwego przygód rycerza. Jego don Juan nie ma w sobie nic z żaru człowieka, rozszalałego żądzą: jest to poprostu wyuzdany zuchwalec XVII-go wieku, dowcipniś i niedowiarek. Nie był nim don Juan: wyzywał wprawdzie Boga, lecz nie przeczył Jego istności. Szkoda, że potężna ta i tragiczna postać posłużyła Molierowi jedynie do naszkicowania sylwetki nieobyczajnego szlachcica (mauvais noble) swego wieku. Czy znał on komedję Tirsa de Moliny? Prawdopodobnie tak, biblioteka jego bowiem, jak wogóle biblioteki wszystkich ówczesnych

pisarzy dramatycznych, była obficie zaopatrzona w sztuki hiszpańskie, których głośnem echem rozbrzmiewał w tej epoce niejednokrotnie teatr francuski. Słynne wiersze z sonetu Oront'a: Belle Philis, on désespère

Belle Philis, on désespère

Alors qu'on expère toujours, *)

są najwidoczniejszym zapożyczeniem z don Juana autora hiszpańskiego. Sztuka jednak, którą pozostawił wielki komedyopisarz francuski, dowodzi, iż czytał on przedewszystkiem naśladownictwa włoskie dramatu Tirsa de Moliny.

Molière popełnił zresztą błąd bardzo ważny, za tytułowawszy sztukę swoją: Don Juan ou le Festein de Pierre (Don Juan czyli uczta Piotra), jest to bowiem zupełne niezrozumienie hiszpańskiego „y Convidado de Piedra“, co znaczy: „gość kamienny“, a nie „uczta Piotra“. Co prawda, pomyłkę tę wywołał Dorimond, nadawszy w komedyi swojej komandorowi imię Piotra. Molière, zbyt do wierząc nieomyślności swojego poprzednika, zachował tytuł.

Pod koniec XVII-go w. Hiszpan, Antonio de Zamora, wykrajał ze sztuki Tirsa de Moliny sceniczne naśladownictwo, które posłużyło odtąd za temat do oper włoskim librecistom.

Z kolei w wieku następnym pojawiły się: dramat Goldoniego, balet Glucka i opera Wincentego Righini.

Arcydzieło, którem przeznaczone było don Juanowi natchnąć geniusz ludzki, miało nie powstać w dziecinie literatury: zabłysło ono, jako nieśmiertelny

*) Piękna Filis, rozpacza się nie tracąc nadziei.

utwór muzyczny, napisany za 100 dukatów 1200 franków, t. j. 300 rb.) za ledwie. Do libretta Wawrzyńca da Ponte wyśpiewał Mozart muzykę, nieskończenie wdzięczną, tkliwą, pełną wytworności i rozkosznej pieśczości. Przejdzie ona do potomności po wsze wieki, nie utrwaliwszy jednak typu don Juana takim, jakim był istotnie, obok nieskończonego wdzięku bowiem pozbawiona jest tej tragicznej wielkości i przejmującej grozy, jaką miała w sobie postać hiszpańskiego rycerza.

Hoffmanowi, Musset'owi, Byronowi posłużył don Juan jako temat do pięknych lirycznych wzlotów, do wybuchów nieokiełznanej namiętności, w których odbija się żar ich dusz gorących; są to jednak tylko drobne warianty, lecz nie treść sama. Aleksander Dumas, ojciec, sądził, iż udało mu się wskrzesić legendę z powodzeniem przez nadanie jej tła romantycznego, pełnego dramatycznej werwy; układ utworu jednak grzeszy wielką nierównością, a nadewszystko brakiem harmonii w stosunku do charakteru bohatera głównego.

W 1844, to jest w epoce, kiedy z kolei literatura hiszpańska była jedynie odbiciem twórczości dramatycznej Francuzów, don José Zorilla napisał dramat, zbliżony pod względem tragicznego napięcia scen poszczególnych i dziwnego pomieszania świata rzeczywistego ze światem wyobraźni do pracy Dumas'a, jakkolwiek góruje nad nią większym poletem poezji i żywszą barwnością.

Sądzę, że nie pomylimy się, twierdząc, iż najsubtelniej duszę don Juana odtworzył Mérimée w krótkiej swej nowelli „Les ames du Purgatoire“ (Dusze czyśca). Za ledwie naszkicowana kilkoma rzutami pióra pod kątem widzenia czysto osobistej wyo-

braźni autora, legenda, rozsnuta na tle całej swej barwności, wywiera niezwykle przejmujące wrażenie, mimo jaknajwiększej prostoty, z jaką jest przeprowadzona.

Kto zdoła napisać kiedyś „don Juana“ ostatecznego, — don Juana, pijanego siłą i darem uwodzenia, szalejącego na myśl o zaświatach, nieświadomego grzechów swoich, gdyż dusza jego, przepelniona i rozedrgana tkliwością, ginie w lubieżnej rozkoszy, którą bierze za miłość; don Juana, dalekiego od sceptycyzmu i szyderstwa, don Juana, który wierzy i, pobudzany tą ślełą wiarą, goni chimere tajemniczości i wszystkiego, co nieznanne; don Juana, zepsutego przez świat, lecz wyciągającego w czasie najbrutalniejszych orgii ręce do ideału, wzywającego w niecierpliwości swej bluźnierstwami Boga, by mu się objawił i rzucającego Mu świętokradzkie pytania, nie zrozumiawszy jeszcze, że pytać trzeba na klęczkach, w pokorze modlitwy?*)

*) Jako typ, zbliżony do wymarzonego don Juana, uważa Humiac bohatera sztuki Edmunda Haraucourt'a grywanej przed kilkunastu laty w Odeonie. Nie podajemy w przekładzie wyjątku z bombiastej przedmowy do tego dramatu, załączonej przez autora „Wielkich legend ludzkości“, zakrawa bowiem raczej na szumną autoreklamę (przemowę napisał sam Harancourt), aniżeli na proste, szczere i bezinteresowne wyjaśnienie wątku własnej pracy.

(przyp. tłum.).

Zakończenie.

Na wstępie już zdołaliśmy zaznaczyć, że praca niniejsza mogła objąć za pewną ograniczoną ilość tych doniosłych fikcyj, w których poprzez wieki znalazła odbicie dusza ludzkości.

Należałoby, dla uzupełnienia, nie zaniedbać Egiptu i Persyi w dzieciństwie człowieczeństwa, oświecić walkę Ormuzda z Arymanem (Światła i Ciemności, Dobra i Zła), podać kilka legend z Szachnameh (Księgi królów) Firdusiego; należałoby przetrząsnąć podania mityczne Eddy, z której wyrosły Nibelungi, ten kolos epiczny, a także i część tworu wagnerowskiego; należałoby obficie czerpać ze skarbcza mytów greckich.

Trudno, sądzę, wszakże zaprzeczyć, aby fikcje, podane przez nas w szkicach dorywczych, nie należały do najcenniejszych, którym słusznie należy się miano „Wielkich legend ludzkości“.

Któż nie uzna, że najpiękniejsze słowa szlachetnej i wiernej miłości wyszły z ust Ramy i słodkiej Sity?

Kto wskaże prawdy, bardziej promienne, bardziej podnoszące duszę przez zawartą w nich dobroć i miłosierdzie nad te, które padły z harmonijnych ust Kryszny? Czyż nie należy oczekiwać Chrystusa, by odnaleźć je na nowo?

Co jest w stanie lepiej od bajek o Prometeuszu, Merlinie i Fauście przedstawić niemoc geniusza, powalonego mocą wyższą i tem nieubłaganem prawem przeznaczenia, którego zadaniem miażdżyć najsilniejszych?

Co ponad legendami o Psyche i Don Juanie maluje dokładniej niepokój, walki, błędy, rozczarowania duszy w instynktowem i niepowstrzymanem dążeniu jej do tajemniczego ideału?

*

*

*

A niechże kto aby nie powie, że hołd, oddany powyższym legendom, przyczyni się do wzniesienia czci wyobraźni na niekorzyść czci „bożka rozumu“. Uznanie doniosłości fikcyi nie pociąga za sobą wżgardy dla badań w dziedzinie rzeczywistości.

W jaki sposób zresztą możnaby chcieć ustanowić przewagę wyobraźni nad rozumem, skoro dwie te władze, jak zdołaliśmy to już zaznaczyć, nie współzawodniczą ze sobą bynajmniej, ani też nie należą do dwóch wrogich obozów, lecz są ze sobą w związku, pomagają sobie i uzupełniają się wzajemnie? Wyobraźnia bez rozumu nie przydałaby się na nic, ze swej strony jednak i rozum bez wyobraźni okazałby się niewystarczający. Claude Bernard, wielki uczony, którego trudno podejrzewać o idealizm, napisał własnoręcznie: „Na-

leży pozostawić wolny bieg wyobraźni, myśl bowiem jest podstawą wszelkiego rozumowania i daje wszystkiemu początek“.

Sądzę, iż nie należy podkreślać tych słów, mówią bowiem same za siebie.

K O N I E C.

